Sczytane: Janusz Tadeusz Nowak
Weryfikacja: Zbigniew Solak, Jan Sienkiewicz

Dziennik
rok 1915 (rzesień-listopad)
Mateusz Rzymski,
legionista I brygady Legionów Polskich I pułku I baonu I kompanii II plutonu
wież Kostiuchnówka, miejsce postoju I brygady Lagionów Polskich
Michał Römer
tom X

29 września, rok 1915, środa
Zaczynam pisać drugi zeszyt mego dziennika wojennego. Jestem nowicjuszem i profanem w rzemiośle wojennym, ale już przecież małą praktykę – od Kowla do Styru – za sobą mam. Nasza kompania miała, przynajmniej w tym okresie walki, szczególne szczęście. Kilka razy ona to właśnie, przy zdobywaniu poszczególnych wiosek, szła na przedzie, a przez cały ten czas nie miała żadnej straty. Tymczasem w tym okresie inne oddziały nasze poniosły nieraz ciężkie straty, jak pułk IV albo III batalion naszego pułku, lub przynajmniej drobniejsze straty, jak kompania III i IV pozawczoraj pod Kołodją, choć one rzadziej od naszej kompanii stawały do roboty. Zdaje się, że jest to tylko dzieło przypadku i szczęścia, za które Bogu tylko dziękować należy, bo nie zasługa naszych komendantów. Dąb jest w wykonaniu przedsięwzięcia rozważny i sprytny, ale w samym przedsięwzięciu jest ryzykowny; jego przedsiębiorczości w sprawach wojennych nie mogę nazwać tylko odwagą i dzielnością wojskową; te oczywiście też wymagają nieraz ofiar i narażają poniekąd na ryzyko, choć są wybitnymi zaletami sztuki wojskowej; ryzykowność Dęba jest innego rodzaju. Będąc w jego kompanii, mogę go obserwować ciągle i poznać naturę jego oraz istotę jego postępowania. Jest w nim coś histerycznego, coś zgoła spaczonego na gruncie samolubstwa i zarozumiałości. Z tego wypływają wszystkie jego pomysły, wszystkie rozkazy i przedsięwzięcia. Jest to człowiek, który jest sobą tylko zajęty, swoją wielkością, swoim talentem. Błyskać, imponować – to jego kaprys; tym kaprysem kieruje się on na wojnie, to jego drogowskaz. Jest to człowiek zły z natury, rozpieszczający siebie (swój kaprys, nie ciało), człowiek, który już jest zmanierowany i z pewnością już roli twórczej, nawet w karierze wojskowej, nie odegra. Natomiast sympatycznie mi się przedstawia nasz dowódca batalionu, kapitan Bukacki (właściwe nazwisko Burhardt), rodem z Kurlandii. Jest to człowiek jeszcze bardzo młody, nie znam go osobiście, mało się z nim stykam, ale sprawia on na mnie wrażenie dodatnie człowieka skupionego w sobie, poważnego, wmyślającego się w istotę swego zadania, bystrego jako obserwatora. Ten jest, zdaje się, człowiekiem w sztuce wojennej o wiele od Dęba wybitniejszym i głębszym. Ale przechodzę do dnia dzisiejszego. Rano obwołano w plutonie naszym zbiórkę i wyprowadzono z wioski za bagna w las. Zadaniem naszej kompanii było przesunąć się naprzód w kierunku Kołodji, ewentualnie spatrolować w tym kierunku, czy są tam i jakie siły rosyjskie, ewentualnie nawet zająć wieś. Spostrzeżono rano, że artyleria rosyjska zza Styru waliła szrapnelami w wieś Kołodję. Mogłoby więc się zdawać, że Moskali tam nie ma i że sądzą oni, iż wieś jest przez nas zajęta, o ile nie jest to tylko ze strony rosyjskiej jakiś manewr dla zwabienia nas do wsi. Dąb z I plutonem wybrał się naprzód, nasz zaś II i III pluton miały zostać w rezerwie na skraju lasu. Atoli w kilka minut później Dąb zmienił rozkaz i wysłał nasz pluton na spatrolowanie wsi Kołodji dla przekonania się, czy są tam Moskale. Mieliśmy posuwać się bocznymi zaroślami i laskami, by możliwie niepostrzeżenie podejść jak

najbliżej do wsi i zaobserwować. Szliśmy, wystawiając szpice i zabezpieczenie boczne z prawej strony, mając na lewo związek z wysłaną również na patrol sekcją I plutonu, prowadzoną przez kaprala Krama[1]. Posuwaliśmy się ostrożnie i wreszcie na skraju zarośli, w pobliżu już samej wsi, stanęliśmy. Mieliśmy przed sobą kawał pustego pola, za nim płot i znów zarośla, dalej już cmentarz wioskowy i wieś samą. Szpica z I sekcji, prowadzona przez kaprala Bohuna[2], poszła naprzód, my zaś leżeliśmy w tyralierze, przygotowani do potyczki, wystawiwszy paru obserwatorów. Po niejakim czasie otrzymaliśmy meldunek od szpicy naszej, która się posunęła aż na cmentarz, że na skraju wsi spokój i że z lewej strony na skos posuwa się patrol Krama. Nasz zastępca oficera plutonowego, sierżant Kosa, wysłał zaraz meldunek do Dęba. Dąb przysłał nam rozkaz posunięcia się dalej i nawet ewentualnie dotarcia do samej wsi. Ruszyliśmy więc dalej ze wszelką ostrożnością, w linii tyralierskiej. Bez przeszkód dotarliśmy do samego cmentarza; tu posiadaliśmy pod płotem cmentarnym w kierunku wsi i zza płota zaczęliśmy obserwować wieś, która zdawała się zupełnie cicha i spokojna. Bohun i Dziengiel chcieli już się nawet wybrać na patrol do samej wsi, ale Kosa ich wstrzymał. Aliści w kilka minut później zza skraju wsi na drodze wyłoniło się nagle kilkunastu konnych kozaków; jechali spokojni, bezpieczni, dwaj na przedzie, za nimi reszta. Widocznie był to patrol, który po spatrolowaniu wsi i przekonaniu się, że jest wolna, wysunął się już spokojnie naprzód. Spostrzegł ich pierwszy Partyka. Dokończę jutro.

30 września, rok 1915, czwartek
Kontynuuję opis wczorajszego spotkania naszego z kozakami pod Kołodją. Ukryci na cmentarzu za płotem, ujrzeliśmy wyjeżdżających ze wsi kilkunastu kozaków; jechali spokojnie drogą wprost na nas. Na okrzyk Partyki: „Kozacy!", oczy wszystkich zwróciły się na nich i wpierw nim Kosa się zorientował i zdążył wydać jakiś rozkaz, kapral Bohun już wystrzelił; za nim strzelili wnet inni, dając każdy po kilka strzałów. Kozacy zaskoczeni znienacka, wstrzymali ostro konie, zawrócili je pięknie na miejscu na tylnych nogach i gnani wystrzałami naszymi, schowali się w wieś. Byli od nas w odległości ± 120-150 kroków. Z kilkudziesięciu wystrzałów naszych z pewnością niektóre musiały ranić ludzi i konie, ale sprawdzić tego nie mogliśmy (dziś wszakże złapano na polu pod Kostiuchnówką konia kozackiego z siedmioma ranami od kul karabinowych, prawdopodobnie z wystrzałów naszych). Szkoda, że za wcześnie zaczęliśmy strzelać; należało dopuścić kozaków bliżej, na odległość jakichś 50 kroków i dopiero sprać ich należycie. Jest to błąd Kosy; Kosa – człowiek bardzo dobry, jest jako dowódca plutonu bardzo ostrożny, staranny w wykonaniu rozkazu, rozważny, ale brak mu inicjatywy i brak zwłaszcza szybkiej decyzji i trafności orientacji w momentach stanowczych; jest mało samodzielny i nie dość sprężysty. Tak też wczoraj nie zdołał szybko ogarnąć sytuacji i coś zarządzić, a tymczasem pluton postąpił odruchowo, bez planu i zmarnował moment. W chwili, gdy się kozacy zawrócili do wsi z powrotem, kapral Guc podał projekt, abyśmy się cofnęli wobec szczupłej i odosobnionej siły naszej i możliwości zaatakowania nas przez większy oddział Moskali. Kosa na razie przyjął projekt Guca. Zaczęliśmy się cofać po jednemu, przebiegając chyłkiem poza płotem cmentarnym i mknąc w gąszcz zarośli w kierunku powrotnym. Gdy grono nas przebiegło już za pierwszy lasek, dopędził nas Kosa i chciał zawrócić z powrotem na cmentarz, bo trzej ostatni z plutonu, którzy się ostali na cmentarzu – Bohun, Dziengiel i Gutowski[3] - radzili chwiejnemu Kosie pozostanie na miejscu; Guc wszakże zaoponował stanowczo i cofnęliśmy się wszyscy dalej. Tymczasem sekcja Krama z I plutonu, idąca

[1] Leon Kram, kapral 1 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady, ranny 4 XI 1915 r.
[2] Kazimierz Piotrowski-Bohun, kapral 2 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.
[3] Stanisław Gutowski, legionista 2 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.

gdzieś na lewo od wsi, słysząc nasze strzały, też dała kilka strzałów do wsi dla poparcia nas. Wkrótce przez gąszcz zarośli zaczęły śmigać koło nas kule ekrazytowe kozackie; kilka przeleciało dość blisko koło nas, nie wyrządzając wszakże szkód. Następnie już spokojnie wróciliśmy do swoich i zajęliśmy pozycje na wzgórzu piaszczystym, podczas gdy Dąb posłał jeszcze III pluton do ponownego spatrolowania wsi. III pluton miał także jakieś spotkanie z kozakami, równie jak nasze szczęśliwe. Tak zeszedł dzień wczorajszy. Na noc wróciliśmy do wsi Kostiuchnówki na kwaterę i mieliśmy nawet pozwolenie zdjęcia na noc obuwia. Dziś rano wyprowadzono nas za wieś znów na to samo wzgórze w kierunku Kołodji, gdzieśmy wczoraj wieczór siedzieli. Były tam wykopane przez I pluton małe okopiki do siedzenia. Owóż miejsce to, jako położone na wydłużonym wzgórzu na wprost Kołodji (o parę wiorst od tej wsi), obrane zostało za pozycję frontową naszą na wypadek ataku Moskali. Kazano więc nam wykopać tam porządne okopy redutowe. Praca ta zajęła nam czas do obiadu. Zresztą, choć się napociłem, praca ta nie szła zbyt ciężko, bo grunt był piaszczysty. Do obiadu okopy nasze były już gotowe; siedzieliśmy w nich przez dzień cały i nocowaliśmy następnie. Z okopów naszych roztaczał się obszerny widok na rozległą okolicę przed i za Styrem. Za Styrem podnosiły się wzgórza wydłużone, dominujące nad okolicą i służące Moskalom za dobre punkty obserwacyjne w naszym kierunku. Z okopów naszych widać było kilka wsi z cerkwiami i duże przestrzenie lasów, lasków i zarośli, które tu wśród piachów są niezmiernie liczne i sprawiają, że ten teren jest szczególnie skomplikowany dla walki, uciążliwy i zdatny jeno do partyzantki; poznaliśmy go już nieźle, patrolując ciągle i podchodząc pod Kołodję. Zza okopów naszych obserwowaliśmy epizody walki dzisiejszej. Zza Kostiuchnówką artyleria nasza i austriacka pruła szrapnelami teren rosyjski, waląc w Kołodję poniekąd, a przeważnie za Styr. Przed nami nieco na prawo na ukos toczyła się walka o wieś Nowe Podczerewicze (tak się zdaje nazywa), którą atakował VI pułk świeżo przybyły z Piotrkowa i rozpoczynający swój debiut. VI pułk zdobył wieś, ale tam został zaatakowany przez Moskali i ostrzelany szrapnelami rosyjskimi, od których wieś się zapaliła, i musiał się cofnąć.

1 października, rok 1915, piątek

Pozawczoraj wrócił z urlopu nasz dowódca plutonowy, podporucznik Stawiński-Kozicki[4]. Jest to człowiek młody bardzo, z gruntu bodajże niezły, ale mi się osobiście nie bardzo podoba; jest to błazen jeszcze, gołowąs, któremu zielono w głowie; jest dość ekspansywny, ruchliwy, lubiący wciąż nucić, deklamujący poezje, ale jeszcze głowa chaotyczna, nieuporządkowana. Z żołnierzami to bywa koleżeński, to nawet daje sobie gadać impertynencje, to znów podnosi głos i drze się rozkazująco; niezrównoważony jest, trochę nerwowy, nie mający metody w postępowaniu. O zaletach jego wojskowych nie mogę jeszcze sądzić; wydaje się odważny, ale jakiś nonszalancki, niemetodyczny. W każdym razie, indywidualność ma dość wyrazistą, jeno nie ułożoną. Zmuszony jestem podlegać takiemu gołowąsowi, smykowi jeszcze, który, zdaje się, sam nie wie, jak mnie traktować; instynktem czuje, że nie może mnie traktować jak zwykłego podwładnego, ale skądinąd chce oczywiście zachować wobec mnie powagę i urzędową wyższość; jest w jego traktowaniu mnie pewna pobłażliwość i pewne błaznowanie się,

[4] Stanisław Stawiński-Kozicki (1893-1948), gen. brygady. Absolwent Politechniki Lwowskiej. Od 1912 r. członek Drużyn Polowych Sokoła. Od początku wojny służył w oddziale J. Piłsudskiego, potem w 1 pp. I Brygady Legionów. Po kryzysie przysięgowym wcielony do wojska austriackiego. W Polsce niepodległej uczestnik obrony Lwowa w l. 1918-1919 i wojny polsko-sowieckiej 1920 r. Pełnił szereg ważnych funkcji wojskowych, m.in. był dowódcą piechoty dywizyjnej 8 DP, 26 DP, szefem departamentu broni pancernej ministerstwa spraw wojskowych. Po kampanii 1939 r. internowany w Rumunii, potem w niewoli niemieckiej. Zmarł na emigracji.

którego nie lubię; wolałbym już, aby mnie formalnie traktował surowo i trzymał się z dala i obco, jak Dąb, niż takie jakieś żartobliwie-pobłażliwe klepania po ramieniu, bez poznania człowieka, bez traktowania go za równorzędnego, ni to, ni owo. Z gazet i z wieści z wojny, o których dawno w dzienniku nie wspominałem, bo czasu i miejsca na to nie miałem, a zresztą wieści tu dochodzą nieregularnie, błędne, poplątane – ważne są postępy ofensywy niemieckiej na Litwie zwłaszcza: Wilno już jest zajęte, walki toczą się pod Dyneburgiem, w kierunku Mińska. Smorgonie już są zajęte i gdzieś pod Mołodeczno się linia posuwa, Pińsk, stolica Polesia, zajęty przeszło od tygodnia czy dwóch. Moskale natomiast usiłują prowadzić kontrofensywę w Galicji i na Wołyniu w okolicach twierdz Łucka, Równego i Dubna; w Galicji Wschodniej zdołali chwilowo cofnąć linię austriacką od Seretu nad Stryję, ale znów odparci zostali i na Wołyniu też trwałych skutków kontrofensywą swoją nie osiągnęli. Tam w okolicach Łucka walczy przeciwko Moskalom Piłsudski – „dziadek” lub „dziadzio”, jak go w Brygadzie naszej nazywają, ukochany, bodajże niemal za świętość wielbiony przez legionistów jako żywy, wcielony symbol ich idei, ich wiary. Piłsudski dowodzi tam grupą wojsk, specjalnie *ad hoc* utworzoną, do której włączony jest pułk IV Legionów (z III Brygady) i kilka austriackich oddziałów, podczas gdy my jesteśmy w naszej obecnej kompanii poleskiej kierowani w zastępstwie Piłsudskiego przez Śmigłego-Rydza.
Piszę nieporządnie, ale co robić – trudno o systematyczność na wojnie. Kto nie był na wojnie, temu trudno sobie przedstawić, co się dzieje w tym otoczeniu dokoła człowieka na zewnątrz i w duszy. To jest rzecz straszna i ohydna – wojna.
Zanotuję fakt taki. Jest w Wiedniu tzw. „gospoda legionistów”. Instytucja ta podjęła się łaskawie na wiosnę pośrednictwa dla legionistów szeregowców w poszukiwaniu ich rodzin lub zaginionych członków takowych. Nadesłano w kwietniu czy maju, jeszcze nad Nidę, do Brygady kartki-blankiety drukowane, na których legioniści wpisywali nazwiska i pewne szczegóły o osobach, o których poszukiwanie im chodziło. I oto dziś nadeszły z „gospody legionistów” odpowiedzi tej treści, że jeszcze poszukiwanych nie znaleziono, lecz że „dalsze poszukiwania są w toku”. Brzmi to jak ironia sytych i bezpiecznych protektorów, raczących się łaskawie zajmować filantropią na rzecz biedaków legionistów; od maja już większość sama się zdołała skomunikować z rodzinami bez żadnych poszukiwań, zwłaszcza od czasu wyrzucenia Moskali ze Lwowa i Galicji, a ci panowie filantropi dopiero zapewniają, że „dalsze poszukiwania są w toku”. Oczywiście nic rzetelnie nie robią, jeno popisują się na tyłach swoją „działalnością” na rzecz „biednych legionistów”. Co dziwnego, że legioniści na linii stosują się z taką niechęcią i pogardą do działaczy tyłowych bawiących się w bohaterów narodowych, a właściwie ocierających się tylko o Legiony z wielkim krzykiem o swojej pracy, bez żadnego pożytku dla istotnych bohaterów.
Noc w okopach zeszła nam dziś spokojnie. Zimno tylko było spać, bo noc była zimna. Kozacy, których napadu się spodziewano, nie ukazali się wcale. Do zmroku siedzieliśmy dziś nadal w tychże okopach. III pluton chodził na patrol pod Kołodję, gdzie wypadło nań do 60 kozaków, których ostrzeliwał. Pod wieczór nas kilku chodziło tamże na patrol. Na wieczór przyszedł rozkaz wymaszerowania naszej kompanii i kilku innych gdzieś o kilka wiorst dalej na północ, zaś VI pułk miał zaatakować Kołodję.

2 października, rok 1915, sobota
Dziś – jeden z tragicznych strasznych dni wojny. Będę wszakże pisać w porządku toku wypadków, choćby na tym stracił tragizm momentu. Zresztą w prostocie wypadków uwydatnia się jeno lepiej właściwy ich koloryt i groza chwili strasznej i nagłej, następującej wśród ciszy i zakłócającej gwałtownie równowagę pogody. Wyszliśmy więc wczoraj pod wieczór z Kostiuchnówki na północ. Z nami wyszedł sztab Brygady,

sporo kawalerii i cały nasz pułk I. Naszą pozycję w Kostiuchnówce, zwróconą na Styr, zdaliśmy właściwie VI pułkowi, debiutującemu na wojnie. Pułk ten został już pozawczoraj ciężko doświadczony pod Podczerewiczami, gdzie mu Moskale klęskę zadali i zmusili do odwrotu. Wczoraj miał on atakować Kołodję, podczas gdy pułk III naszej Brygady miał gdzieś wykonać atak na skrzydle. Przez cały dzień wczorajszy artyleria nasza i austriacka ostrzeliwała pozycje rosyjskie, właściwie wsie nad Styrem. Przez parę godzin artyleria austriacka prażyła, stojąc w ukryciu zarośli tuż przy naszych okopach frontowych, podczas gdy obserwator kierował ogniem bezpośrednio z naszych okopów. W okopach naszych ustawiony też był nasz karabin maszynowy – „jedynak", jak go u nas nazywają, bo drugi został stracony przed paru tygodniami w Czersku. Gdyśmy maszerowali wczoraj wieczorem na północ, nadeszły w drodze telefonicznej jakieś meldunki z pewnych odcinków rozpoczętego szturmu o niepowodzeniu naszego oręża, wobec czego wstrzymano nas w drodze i cofnięto w jakiś niewielki lasek, gdzie kompania nasza stanęła na nocleg wraz z kuchnią i taborami. Dopiero żołnierze zaczęli się krzątać nad gotowaniem herbaty, paleniem ognisk i niektórzy rozbijaniem namiotów, gdy usłyszeliśmy od strony Kostiuchnówki i Kołodji piekielny ogień karabinowy, w którym głos strzałów naszych mieszał się z suchym trzaskiem strzałów rosyjskich, nasze bowiem i rosyjskie strzały mają swój odrębny charakterystyczny głos, łatwy do odróżnienia. Ogień ten dochodził nas z odległości kilku kilometrów i był tak wściekły, jak nigdy dotąd nie słyszałem. Strzelanina, której świadkiem kilkakrotnie już byłem przy zdobywaniu poszczególnych wsi od Stochodu do Styru, była wobec tego ognia zabawką dziecinną, jak ołowiane żołnierzyki wobec żywych żołnierzy staczających bój rzeczywisty. To gdzieś szóstacy nasi oraz III pułk Brygady tak się prali z Moskalami. Do strzałów karabinów ręcznych wmieszały się dźwięki strzałów karabinów maszynowych, sprawiających łoskot łańcucha urywanych pukań, jak rzucanie wprawną ręką setek poszczególnych ziarenek grochu o ścianę. Z daleka trzask tych dźwięków klokotał tak jak bulgocząca woda gotująca się w garnku. Ognie u nas pogaszono i wszyscyśmy się w ciszy pokładli. Trzask piekielnego ognia po pewnym czasie ustał. Noc była zimna, prawie że mroźna, jak stale obecnie w tej porze na Polesiu: we dnie na słońcu upał suchy, w nocy prawie że mroźno z grubą rosą, sprawiającą przenikliwą wilgoć. Prócz zimna, dokuczał w nocy ciągły ruch przemarszu poszczególnych oddziałów III pułku, który tędy ciągnął po walce nocnej. Koło północy znów się powtórzył ten sam dźwięk walki, staczanej gdzieś w pobliżu; znowu ciszę nocy zakłóciło bulgotanie ognia karabinowego, trzaskające dziko wśród spokojnych piasków, błot i lasów Polesia. Potem znów szły tędy oddziały III pułku, stawały koło nas, zwoływały się, obliczały swych ludzi, to znów zbierały się gromadki odbitych maruderów itd. Wczesnym rankiem obudzono nas. Wracać mieliśmy znów do Kostiuchnówki. Atak nocny szóstaków i III pułku był przez Moskali odparty krwawo. Szliśmy na wzmocnienie naszych dawnych stanowisk, aby Moskalom przeszkodzić w wykorzystaniu ich zwycięstwa. Nasz pluton był wyznaczony do zabezpieczenia bocznego lewego skrzydła od strony Moskali. Podczas gdy tabor osłaniany przez inne plutony szedł drogą, myśmy brnęli przez błota lasami. Pod Kostiuchnówką stanęliśmy na skraju lasu. Część dnia pluton nasz spędził w rezerwie, spokojnie, rozkosznie prawie, gwarząc, żartując i popijając winko, które nam wyfasowano. Potem wprowadzono nas w okopy na lewym skrzydle pod lasem na brzegu drogi. Tam przesiedzieliśmy parę godzin. O szarej godzinie wyprowadzono nas stamtąd na lewo i chwilowo dano nam spocząć na łące. Tu nastąpił ten straszliwy moment, który opiszę jutro.

3 października, rok 1915, niedziela

Opiszę więc dziś ów dzień straszny wczorajszy, jeden ze szpetniejszych dni wojny. Sam dzień dzisiejszy także był wstrętny i wypływał ze wczorajszego, ale wczorajszy przechodził wszelką miarę. Nawet starzy żołnierze, którzy od początku wojny są w szeregach, powiadają, że takiego dnia, takiego wypadku nie pamiętają. Bywały dnie straszne, bywały przeróżne ataki rosyjskie, były rezultaty krwawe i chodziło się pod ogniem większym jeszcze, ale nigdy nie było takiego dzikiego, takiego ohydnego w swej grozie i rozprzężeniu dnia. Wyprowadzono właśnie kompanię naszą z okopów. Dokąd mieliśmy być zaprowadzeni – nie wiem; może na placówki jakieś, może w rezerwę w polu za linią okopów. Tymczasem wszakże po drodze zatrzymaliśmy się na łące tuż za skrzydłem wielkich świeżych okopów saperskich. Już po obiedzie słychać było, że VI pułk ma dziś znowu pod wieczór atakować Kołodję. Skądinąd były wieści, że gdzieś w innym punkcie naszego odcinka 13 pułk kawalerii austriackiej dostał od Moskali lanie; pod wieczór ruch był pod Kostiuchnówką wielki. Szło dużo kawalerii, szły kompanie VI pułku Legionów, maszerowały kompanie III pułku naszej Brygady. Kompanie zaś naszego pułku były rozlokowywane po poszczególnych okopach i rowach strzeleckich na froncie Kostiuchnówki. Jakiś plan akcji bojowej na noc się gotował i układał, przy tym brało się w rachubę siły rosyjskie, które oczywiście na naszym odcinku znacznie narosły i, zasilone regularną piechotą zza Styru, już zdołały wstrzymać nasz postęp i parokrotnie w ostatnich dniach rozbić poszczególne nasze oddziały, tak Legionów, jak kawalerii austriackiej. Sytuacja była niepewna, ciężarna w jakieś wypadki oczekiwane a nieznane. Na tym południowo-poleskim odcinku frontu, na wschód od Kowla, między Stochodem a Styrem, linii regularnych nie było. Ofensywa mająca charakter okolicznościowy, partyzancki, polegała na kawalerii austriackiej oraz grupie naszych Legionów (część I Brygady, mianowicie nasz pułk I i III oraz pułk VI-ty III Brygady, świeżo dopiero na wojnę przybyły; reszta I Brygady, mianowicie pułk II oraz pułk IV-ty III Brygady zostały od samego wymarszu naszego z Kowla wydzielone w osobną czasową grupę pod wodzą Piłsudskiego łącznie z kilku oddziałami austriackimi i działają na innym odcinku wołyńskim, gdzieś w okolicach Łucka[5]). Kawaleria austriacka wespół z nami ma do pomocy tylko lekką polową artylerię. Właściwości terenu poleskiego niezmiernie utrudniają akcję zwłaszcza dla strony zaczepnej, podczas gdy Moskale teren ten znają lepiej i mogą go przeto dogodniej dla siebie zużytkować. Teren ten jest bardzo nużący dla naszego żołnierza, który i tak jest zmęczony długą wojną i ciągłą ofensywą od maja. Nigdy, jak mówią starzy żołnierze, nie było takiej ciągłej wytężonej służby dziennej i nocnej w marszach, szpicach, zabezpieczeniach, placówkach i wedetach, jak teraz na Polesiu. Lasy wymagają ciągłego patrolowania, bagna utrudniają i komplikują marsze, a ciągle trzeba się mieć na baczności w stosunku do nieprzewidzianych podstępów nieprzyjaciela. Legioniści I Brygady są wyczerpani służbą i wymęczeni wojną; zniechęcenie wkrada się do szeregów i osłabia wiarę w zwycięstwo i siłę rozpędową akcji. Na tym tle sytuacja po niepowodzeniu VI pułku i III pułku I Brygady wydawała się wczoraj niepewna. Nie czuło się w szeregach tak żołnierzy, jak dowódców wiary w zwycięstwo. Do tego dołączyła się jeszcze rywalizacja między I Brygadą a VI pułkiem, dowodzonym przez Rylskiego[6] i, jako brygadiera, przez Grzesickiego. Jak wiadomo, I Brygada piastuje najwyraziściej ideę samodzielnego wojska polskiego, podczas gdy Komenda Legionów i dowództwo innych brygad ma cechę polskiej formacji

[5] Grupa działała w okolicach Czeremoszna i była to akcja nie uzgodniona z c. i k. Komendy Legionów, którą Piłsudski starał się skompromitować poprzez lekceważenie jej rozkazów.
[6] Witold Rylski (1871-1925), naczelnik „Sokoła", uczestnik wojny burskiej (walczył po stronie Boerów przeciw Anglikom), mjr Legionów Polskich, dowódca 6 pp. III Brygady, potem w Polskim Korpusie Posiłkowym. W Polsce niepodległej awansowany do stopnia pułkownika. Od 1921 r. w USA.

ochotniczej w wojsku austriackim. Formalnie I Brygada podlega Komendzie Legionów, faktycznie wszakże w wewnętrznej organizacji i w wykonaniu pracy wojennej działa zupełnie autonomicznie, nieraz na przekór Komendzie. Toteż Komenda nie lubi I Brygady i ma do niej urazę, ale się obawia jej tykać ostro ze względu na popularność I Brygady, na potęgę legendy, która z niej urosła i na umiejętność Piłsudskiego w zdobywaniu protekcji i uchylaniu się od zależności względnie od spełniania zleceń i rozkazów Komendy. Komenda więc Legionów i dowództwo III Brygady rade by jakoś pognębić I Brygadę, a nawet są w I Brygadzie gawędy, że rzekomo Komenda pragnęłaby zupełnie zniszczyć I Brygadę czy przez rozwiązanie, na co się wszakże targnąć boi, czy przez jej wytracenie, to znaczy nieudzielanie jej odpoczynku, wyznaczanie jej trudnych i stratnych zadań, odbieranie od niej ludzi, co się istotnie systematycznie robi (ze szpitalów i w ogóle z tyłów Komenda zabiera szeregowców I brygady i wciela ich do brygady II albo III; kradnie więc ludzi; tak samo z batalionu uzupełniającego, przeznaczonego na uzupełnienie I Brygady, chwyta ludzi dla innych Brygad; niektórzy z tych wykradanych uciekają i przemycają się rozmaitymi drogami do I Brygady; odwrotnie zaś I Brygada, chętnie przyjmuje do swych szeregów żołnierzy, którzy uciekli z II lub III Brygady); w tych dniach cały szereg szóstaków, zbiegłych ze swego pułku, został zafasowany do I Brygady; we wszystkich kompaniach i plutonach pojawili się ex-ochotnicy.

4 października, rok 1915, poniedziałek
Wspomniałem wczoraj o rywalizacji między I Brygadą a innymi formacjami Legionów. Rywalizacja ta i niechęć wzajemna, a raczej wzajemna nieufność i podejrzliwość szkodzą nieraz sprawie i odbijają się ujemnie na przebiegu samej akcji wojennej. Właściwie w szeregach II i III Brygady nie ma niechęci do Brygady I-szej. Przeciwnie – jest ona we wszystkich szeregach legionistów otoczona aureolą chwały i wszyscy szeregowcy z innych brygad tęsknią do niej; toteż nie zdarzają się bodaj wypadki, aby ktoś z szeregów I Brygady dobrowolnie przeszedł do II lub III Brygady; natomiast ciągle szeregowcy z II i III Brygady przekradają się i przemycają do I-szej. Ale w szeregach oficerów II i III Brygady niechęć do I-szej jest wielka. Cieszyliby się oni, przynajmniej wielu z nich, aby się I Brygada skompromitowała, jak nieraz oficerowie i żołnierze I Brygady złośliwie z przekąsem notują wszelkie niepowodzenie zwłaszcza III Brygady i w gruncie cieszą się z takowego, ponieważ na tym tracą ich rywale idei i tajni wrogowie, a natomiast przez przeciwstawienie wzrasta legenda chwały I Brygady i jej dowódców. Rywalizacja ta i w pozawczorajszym niefortunnym dniu odegrała pewną rolę. Mianowicie oficerowie naszej I Brygady zdali troskę o stan rzeczy na pułk VI, który miał atakować i ewentualnie w obronie czoło zajmować, a który nie znał tak dobrze jak my terenu i, nie mając tak zdolnych i wprawnych oficerów, nie spatrolował należycie okolicy w kierunku Kołodji i nie zabezpieczył się odpowiednio. Mam wrażenie, że nasi oficerowie, a przynajmniej wielu z nich, jak niewątpliwie na przykład Dąb, zacięty wróg Komendy Legionów (o kapitanie Bukackim nie odważyłbym się tego twierdzić), cieszyłby się w gruncie, aby się VI pułkowi noga podwinęła. W każdym razie, była co najmniej obojętność względem akcji, forsowanej przez pułk VI, abnegacja na poły rozmyślna i na poły płynąca nieświadomie z niechęci, był brak ścisłego współdziałania wzajemnego. Ze strony zaś pułku VI była nieopatrzność i pewna wyniosłość w stosunku do I Brygady; panowie dowódcy z obozu Komendy Legionów nie byli skorzy do ubiegania się o pomoc i współdziałanie rywali, zarozumiali i ufni w samych siebie. Pan Rylski, dowódca VI pułku, ambitny karierowicz, uczestnik ongi wojny Boerów z Anglikami, kierownik polskich organizacji strzeleckich w Ameryce, który wpierw był sam w I Brygadzie, a następnie porzucił ją i

przeszedł do obozu Komendy Legionów, gdzie mu świetniejsze osobiste gotowano stanowisko, chciał sam sobie wystarczyć.
Przechodzę więc wreszcie do konkretnego opisu wypadków nocy sobotniej. Siedzimy na łące spokojnie, cała nasza kompania. Ludzie gawędzą, żartują, palą; humory dobre, bo dzień spędzony bez ciężkiej pracy, w pół-odpoczynku. Wtem nagle rozlega się tuż w pobliżu trzask gęstej strzelaniny, i słyszymy moskiewskie „hurra" pędzących do szturmu Moskali. W tej chwili rakieta oświetla cały teren pobliski, a w tym i naszą łąkę. Jesteśmy wszyscy jak na dłoni widoczni, a kule pędzą, gwiżdżą dookoła, a dzikie „hurra!" zbliża się z jakimś piorunującym łoskotem na tle tego niespodziewanego ognia. Stało się to tak nagle, tak przerażająco niespodzianie wobec pogodnej idylli wypoczynku na łące, że mimo woli, odruchowo panika wybuchła w naszych szeregach. Atak nocny jest zawsze groźny, a szczególnie jest demoralizujący, gdy się go strona atakowana nie spodziewa. Okrzyk tłumny „hurra!" zwiększa wrażenie, wstrząsa grozą większą od ognia samego. W tej chwili cała nasza kompania zerwała się na nogi i wśród ognia w przerażeniu pierzchła w las. Nie było żadnej komendy, żadnego planu ani rozkazów. Każdy odruchowo kierował się li tylko instynktem własnym. Szarże nasze, kaprale, sierżanci, zrywali się i biegli tak samo, jak wszyscy inni. Nikt w pierwszej chwili nie pomyślał nawet o jakimś rozkazie, o zaprowadzeniu ładu i systemu obrony. Czy oficerowie byli tam z nami na miejscu, czy się porozchodzili – nie wiem. Jeżeli byli, to tak samo w pierwszym momencie musieli pomyśleć przede wszystkim o jednym – o salwowaniu się spod ognia, gdzieśmy jak barany leżeli. Ale rozkaz jakiś bądź co bądź byłby potrzebny, byłby w tej chwili zbawienny. Co innego, że w pierwszym momencie instynkt usunięcia się spod ognia był silniejszy od rozkazu ale ci, co głowy nie stracili, byliby się wnet po wszystkim uporządkowali.

5 października, rok 1915, wtorek
Dalszy ciąg wypadku sobotniego. Na łoskot szturmu moskiewskiego wszyscy się zerwali z łąki i pierzchli w las, położony tuż obok. Olbrzymia większość wyrywała na oślep przed siebie w gąszcz, bez żadnej myśli innej, prócz ratunku od ognia i od Moskali, którzy zdawali się być tuż. Okopów przed sobą nie mieliśmy żadnych, do których moglibyśmy się schować i atak odpierać, a najbliższe okopy – rowy strzeleckie, przez saperów wykopane, na prawo od nas – leżały właśnie w kierunku, skąd, jak się zdawało, szedł atak i mogły być przez Moskali zajęte. Zresztą trudno się było zorientować, z której strony mogło się zbliżać niebezpieczeństwo, bo kule gwizdały i biegły we wszelkich kierunkach. Nikt z nas nikogo się nie trzymał, każdy umykał do lasu na własną rękę. Dopiero w lesie zaczęli się ludzie orientować, zastanawiać, skupiać, chłonąc z pierwszego wrażenia. Ale to były tylko jednostki, bo większość w dalszym ciągu pędziła na oślep gnana przerażeniem i instynktem ratunku od kul. Wielu potraciło kierunek, świadomość i zmysł orientacji. Ja się zatrzymałem blisko skraju lasu, nie zdając sobie dokładnie sprawy z tego, co robić. Dokoła wśród drzew i krzewów syczał prawdziwy deszcz kul we wszystkich kierunkach: jedne biegły prosto, to z prawa, to z lewa, to znów gdzieś na ukos, to jakby z góry w dół; trzask karabinów maszynowych mieszał się z sykiem i gwizdem pędzących kul, a z rozmaitych stron dolatywało „hurra!" tłumnych głosów Moskali; co kilka kroków błyskały ogniki pękających ekrazytówek; znaczenia tych ogników nie pojmowałem, nie wiedząc jeszcze, że pochodzą one z ekrazytówek. Było jakieś piekło w tym lesie. Zdawało się niepodobieństwem, aby w tym deszczu ołowiu można wyjść cało; parę razy słyszałem jęk. Od czasu do czasu las się oświetlał od ognia wyrzucanych gdzieś w pobliżu rakiet. W świetle tym dostrzegłem coraz rzadsze figury ludzi, niektóre pełzające, inne czołgające się na czworakach, to znów gdzieś wyprostowane, znieruchomione wzdłuż

drzew. Coraz mniej ludzi było koło mnie. Błąkałem się, rozmyślając, w którym kierunku się udać i co przedsięwziąć. Wzrok mam tak krótki, w nocy tak nic nie widzę, że to mnie robiło bezradnym. Nie wiedziałem, z której strony są Moskale, gdzie są nasi. O strzelaniu nie myślałem, bo nie miałem pojęcia dokąd. W pewnym momencie zbliżyłem się do figury stojącej w pobliżu; był to Grzmot, mój przyjaciel, z którym mnie coraz bliższy i coraz serdeczniejszy stosunek łączy; poznał mnie on zaraz i pierwszy przemówił do mnie; stał on tu, nic nie rozumiejąc, co się stało i co się dzieje, i nie orientując się, jak ja, co robić. Wziął mnie za rękę i poprowadził, bo już tu się robiło coraz puściej, coraz niebezpieczniej, gdyż Moskale mogli lada chwila dotrzeć. Szliśmy z Grzmotem przez las w kierunku, gdzie prawdopodobnie skupiali się nasi. Wkrótce natrafiliśmy jeszcze na dwóch naszych z naszego plutonu na Marsa i Tobjasza[7]. Odtąd już trzymaliśmy się we czwórkę. Kilkakrotnie wpadaliśmy w sferę gwałtownego ognia kul, ale zawsze jakoś szczęśliwie zostawaliśmy nietknięci. W ogóle aż dziwne, jaki mały względnie procent kul dosięga ludzi; kto nie był na wojnie, ten nie ma pojęcia o tym. Wszak ogień, który w sobotę grał w lesie, był istotnym gradem ołowiu, a straty są względnie minimalne; przynajmniej w naszej kompanii, zaskoczonej znienacka i rozpierzchłej w lesie wśród ognia, strat prawie nie ma, bo jeden tylko na całą kompanię, Dziengiel z naszego plutonu zaginął bez wieści – to znaczy bądź został zabity, bądź raniony i do niewoli wzięty. Wkrótce zaczęliśmy spotykać coraz więcej naszych, skupiać i klasyfikować podług plutonów. Grzmotowi kochanemu mam w tym przejściu dużo do zawdzięczenia, bo ciągle się troszczył o mnie, nawoływał, prowadził pod rękę; w ogóle opiekował się mną i po trochu gderał komicznie, z miną piastuna zgryźliwego. Gdyby nie on, mógłbym się zgubić i zabłąkać w tym lesie i może bym w niewoli był.

6 października, rok 1915, środa
Kontynuuję opis wypadków nocy sobotniej. Dostaliśmy się tedy z Grzmotem, Marsem i Tobjaszem w większe skupienie naszej kompanii. Coraz to z różnych kątów lasu, jako też od bagien, które nas dzieliły od Kostiuchnówki, przybywał ten i ów z naszych, bądź pojedynczo, bądź po kilku grupkami i łączył się ze swym plutonem. Kompania nasza, rozproszona w rozsypkę w pierwszej chwili popłochu, szybko się kompletowała. Przez las biegło hasło zwoływania się I kompanii. Kulki gwizdały, ale już w tym miejscu rzadziej. Tylko nieustannie z boku rozlegał się turkot naszego karabinu maszynowego, setki i tysiące luźnych strzałów karabinowych i okrzyki „hurra!" szturmujących Moskali. Las cały kotłował i wrzał walką jak w szabas piekielny w jakiejś orgii szatańskiej. Dowódcy nasi byli na stanowiskach i wydawali rozkazy. Dąb, Bożywoj, Wiatr, Stawiński-Kozicki, wszyscy sierżanci – stali na czele swych plutonów i kompanii. Stopniowo wracał ład, ustalał się mechanizm działania. Bukacki ujął w swe ręce nerwowe a sprężyste plan akcji na skrzydle, w którym nasza kompania się znalazła, ewentualnie nawet kierował całością obrony. Kompanię naszą skierowano gdzieś do jakichś głębokich okopów, przecinających las i okopami tymi prowadzono ku polance, która nas dzieliła od drogi na młyn i most do Kostiuchnówki. Przyszedł meldunek, że skrzydło nasze jest odcięte od centrum przez Moskali, którzy się już przedarli do błot, przecinając drogę łączącą nas z młynem i mostem. Rozkaz mieliśmy komendanta Bukackiego, abyśmy się cofnęli, co miało być uskutecznione w drodze walki z Moskalami, przez których musielibyśmy się przedrzeć. Gdyśmy doszli okopami do polanki, rozległ się właśnie na jej skraju nad bagnami ryk „hurra!" atakujących Moskali, podczas gdy przez jej środek sypały się strzały naszych. Dąb szybko się zorientował w sytuacji i ocenił ją słowami: „To się na nic nie zda". Istotnie

[7] Franciszek Tobjasz (Tobiasz), legionista 2 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.

wywiązałaby się jeno walka bezcelowa, w której nasza kompania byłaby szpetnie poturbowana przez liczniejsze tu siły rosyjskie. Wobec tego Dąb natychmiast zmienił nasz kierunek i po cichu wyprowadził nas lasem na łąki na tyły w górę rzeczki. Kto był przewodnikiem naszym w tym odwrocie – nie wiem, ale wyprowadził nas świetnie. Szliśmy w milczeniu, zachowując wielką ciszę i ostrożność, brnąc w bagnach, aż zaszliśmy tam, gdzie rzeczka, rozlana wyżej młyna, znów się zwęża i ma w tym miejscu dno twarde, stanowiące dogodne przejście w bród. Wodę mieliśmy w rzeczce nie wyżej, niż po kolana i przeszliśmy ją pomyślnie. Za rzeczką jużeśmy byli bezpieczniejsi. Nie była wprawdzie wykluczona obecność Moskali za rzeczką, na skrzydłach i tyłach Kostiuchnówki, ale bądź co bądź główne siły ich frontu i główny impet ataku szedł przez lasek na młyn. Od rzeczki doszliśmy wnet do Kostiuchnówki z tyłu, od drogi na Gałuzję. Tuśmy stanęli.
Tymczasem atak ustał i cisza zaległa całe pobojowisko kostiuchnowskie. Na razie wyznaczono nam placówkę, którą miał zajmować cały mój pluton przez noc całą. Było jeszcze wcześnie, dopiero coś koło godz. 9 (czas, zdaje się, wiedeński). Wypadki poprzednie dokonały się w krótkim czasie w przeciągu paru godzin. Nic nie przerywało ciszy nocnej, prócz rakiet, które błyskały od czasu do czasu z placówek, oświetlając łąki i bagna za wioską. Gdyśmy się policzyli w naszym plutonie, brakło tylko trzech ludzi: Dziengla, Gutowskiego i Ziemby. W dwóch innych plutonach naszej kompanii brakło też po kilku ludzi. Wszakże wszyscy zaginieni z kompanii, prócz jednego Dziengla, później w ciągu kilku dni następnych znaleźli się. Mieli oni różne przygody, błąkali się, niektórzy byli już nawet wśród Rosjan, ale ostatecznie różnymi drogami wydostali się z matni, poprzyłączali się do innych oddziałów naszych i wreszcie wrócili do nas. Gutowski, który w chwili popłochu skierował się zamiast w las – na drogę na młyn, znalazł się nagle otoczonym przez Moskali, biegnących do szturmu. Jako stary doświadczony i już sprytny żołnierz, nie stracił głowy i nie zdradził się, jeno pobiegł razem z Moskalami z okrzykiem „hurra!” naprzód, aż dotarł do swoich. Przyłączył się później do III kompanii naszego baonu i wraz z nią cofnął się do Kostiuchnówki, gdzie tejże nocy wrócił do nas, straciwszy jeno czapkę. Ziemba uciekł przez bagna na przełaj, porzucając karabin i umknął z taborami

7 października, rok 1915, czwartek
Jednego więc mamy tylko straconego z niefortunnego dnia 2 października: Dziengla. Szkoda go; był to stary żołnierz, tęgi chłopiec, wysoki i barczysty, rodem z Galicji, lat przeszło 20, jeden z lepszych żołnierzy w plutonie. Co się z nim stało – nie wiadomo. Prawdopodobnie dostał się do niewoli, będąc może ranny, bo rannych z tej nocy stracono wszystkich, o ile zostali ranieni w lesie za bagnami, gdyż las ten pozostał w ręku rosyjskim. Nie wszystkie jednak kompanie były w takiej rozsypce, jak nasza. Walka toczyła się regularnie i nasze Legiony, choć ostatecznie Moskalom udało się przerwać naszą linię, walczyły dzielnie. Siły rosyjskie były przeważające i zwłaszcza miały za sobą tę przewagę, że zdołały podejść niepostrzeżenie i uderzyć, gdzie się im podobało, natrafiając na opór zacięty wprawdzie, ale nie przygotowany z góry, przeto doraźny i organizujący się dopiero w ogniu walki. Niektóre kompanie naszej Brygady oraz pułk VI poniosły w walce straty dotkliwe. Nasza kompania, zaskoczona znienacka i pozbawiona na razie wszelkiej komendy, odcięta na skrzydle przez Moskali, zdołała jednak się skupić i wycofana została z matni bardzo zręcznie. Bukacki, który kierował akcją w tych warunkach bardzo ciężkich, wykazał wielkie zdolności. Myśmy po wycofaniu się stanęli na skraju Kostiuchnówki jako pogotowie. Placówka, którą nam wyznaczono na razie, została zwinięta. Plutony nasze pokładły się na gołej ziemi w pełnym rynsztunku, na zimnie i wilgoci, czuwając na zawołanie. Wkrótce przybywać

zaczęła kawaleria austriacka, której część znów zawróciła i odeszła, podczas gdy druga pozostała i spieszona ruszyła na front do walki. Przejścia przez bagna oraz młyn z mostem za Kostiuchnówką pozostawały w naszym ręku, lasek zaś za bagnami – w rosyjskim. Koło godz. 1 w nocy Moskale ponowili atak w kierunku na bagna i młyn. Gęsty ogień karabinowy, łączący się z wrzaskiem „hurra!" i z trzaskiem austriackich karabinów maszynowych trwał ze trzy godziny. Kule dolatywały aż do nas i z sykiem padały w piasek. Przed świtem strzelanina ustała. Atak rosyjski zdołano odeprzeć. Wszakże pojedynczo to tu, to tam wystrzały wciąż padały. Nastał ranek niedzieli. Wczesnym rankiem o szarej godzinie kompania nasza pomaszerowała, okrążając wieś Kostiuchnówkę, na pozycję rezerwy. Nowy atak rosyjski się rozpoczynał. Austriacy i nasi szóstacy bronili jeszcze młyna. Myśmy tymczasem rozwinęli się w tyralierę na pozycjach za wiatrakiem, oddzieleni wzgórzem od pola walki, i zaczęliśmy się okopywać. Wkrótce od wzgórza zaczęły się ukazywać cofające się linie szóstaków i Austriaków. Moskale zdobyli młyn i most oraz wejście do Kostiuchnówki. Nas cofnięto znów dalej na drugą linię obrony, gdzie znów zaczęliśmy się okopywać. Tymczasem Moskale już zajęli wieś. Szóstacy znów ruszyli naprzód tyralierą do kontrataku, ale wkrótce odparci zostali. Austriacy z miejsca na miejsce przenosili swoje karabiny maszynowe, z których ostrzeliwali Rosjan. Wszakże ci ostatni korzystając z przewagi liczebnej, wciąż się posuwali naprzód. Wkrótce ujrzeliśmy ich linie tyralierskie na wzgórzu pod wiatrakiem. Z naszych okopów zaczęliśmy już ich ostrzeliwać. Artyleria austriacka ustawiona za lasem w odległości kilku kilometrów, ostrzeliwała Kostiuchnówkę, artyleria zaś rosyjska ostrzeliwała szrapnelami poszczególne punkty naszych pozycji, przede wszystkim przednich, ale także rezerwowych. Szrapnele padały blisko od naszych okopów. Za każdym pociskiem padaliśmy w okopie, przytulając się do przodka, ale szczęśliwie się obeszło bez wypadku.

8 października, rok 1915, piątek
Kończę jeszcze o wypadkach dnia niedzielnego. Moskale postępowali coraz naprzód; szóstacy i Austriacy cofali się stale i już się bronili w okopach, któreśmy poprzednio przed godziną w rezerwie kopali. Linia rosyjska, aczkolwiek jeszcze znacznie oddalona od nas, bo ledwieśmy jeszcze dostrzegali czoło szeregów nieprzyjacielskich pod wiatrakiem, zbliżała się do nas stale. Dostarczono nam świeżego zapasu amunicji, któryśmy pobrali i przygotowali się do rychłej gorącej walki. Komendanci nasi chodzili swobodnie między okopami naszych plutonów, wydając rozporządzenia na przewidywaną rychłą walkę. W pewnej chwili Dąb przyszedł do okopu naszego podporucznika Stawińskiego, uprzedzając go głośno, że przychodzi z rozkazem kapitana Bukackiego; treści wszakże tego rozkazu nie powiedział głośno, jeno coś szeptem, uśmiechając się porozumiewawczo, tłumaczył Stawińskiemu. Wnet po tym Stawiński wydał nam rozkaz wycofania się z okopów i przejścia w las, który się na naszym lewym skrzydle w pobliżu rozciągał, powiadając, że przeznaczeni jesteśmy na zabezpieczenie boczne i spatrolowanie skrzydła rosyjskiego. Z tą myślą, licząc, że idziemy na służbę, wycofaliśmy się w pojedynkę jeden za drugim w odstępach z okopów i szliśmy, ewentualnie przebiegaliśmy polem i łąką w las. W ten sposób ściągnięto do lasu wszystkie trzy nasze plutony. W lesie na sosnowym wzgórzu piaszczystym wśród huku dział, które rzucały pociski ponad nim, posiadaliśmy na ziemi. Choć przy wycofywaniu się naszym z okopów Moskale nas ostrzeliwali, jednak czy to na skutek znacznej odległości, czy też dzięki osobliwemu, jak zwykle, szczęściu naszej kompanii (od wyjścia z Kowla mieliśmy jedyną stratę w osobie Dziengla), nikt z nas nie został dotknięty. W lesie nam oznajmiono, że cofamy się nie dla jakiegoś zabezpieczenia bocznego, ale po prostu dla odwrotu, ponieważ atak rosyjski osiągnął

swoje zadanie i dalsza obrona jest zbytecznym narażaniem żołnierza. Toteż bezpośrednio stamtąd poprowadził nas Dąb dróżkami bocznymi, laskami wstecz, unikając dróg i wsi, aby Moskale czy ewentualnie kozacy nie mogli odwrotu naszego dojrzeć. W jakimś wąwozie leśnym stanęliśmy na spoczynek obiadowy, gdzie żołnierze się pożywili zapasowymi konserwami i ruszyliśmy dalej forsownym marszem. Na godz. 1-2 dotarliśmy do Gałuzji, gdzieśmy jakieś półtora godziny zabawili i ruszyliśmy dalej na wieś Maniewicze. Dopierośmy odeszli parę kilometrów za Gałuzję, gdyśmy usłyszeli stamtąd strzały karabinowe: to kozacy atakowali wieś bronioną przez inne kompanie naszego baonu, które się też wkrótce cofnąć musiały, zostawiając Gałuzję kozakom. Myśmy przeszli przez Maniewicze i zakwaterowali w Gorodku. Odwrotem naszym i VI pułku z pod Kostiuchnówki kierował Bukacki, który potrafił wykonać takowy świetnie, symulując manewry strategiczne, zmylając przeto Moskali i unikając strat.

9 października, rok 1915, sobota
Po przyjściu naszym do Gorodka, zaraz nazajutrz w poniedziałek pchnięto nas znów naprzód na Gałuzję, by ją odzyskać. Odwrót niedzielny doszedł do linii: wieś Maniewicze – stacja kolejowa Maniewicze. Obecnie zaś z Komendy Legionów wyznaczono nam zadanie posunięcia linii do Gałuzji. Dowódcy nasi dość niechętnie i ociężale się zabierali do wykonania tego. W ogóle trzeba przyznać, że dowódcy I Brygady, o ile są waleczni w boju, pełni nawet ryzykownej brawury, gdy chodzi o samodzielne spełnienie jakiegoś zadania, o tyle są ostrożni i oszczędni w użytkowaniu siły, gdy mają nakazane zadania z góry i wiedzą, że nasze wojska legionowe są przeznaczone na osłonę Austriaków i osiągnięcie jakiegoś celu, potrzebnego dla lokalnej armii austriackiej. Austriacy chcieliby się nieraz posługiwać Legionami, poświęcając je dla swoich okolicznościowych celów; Komenda Legionów, zależna od Austriaków i stanowiąca wydział austriackiej armii, traktuje zadania austriackie formalnie, nie licząc się z właściwą naturą naszego legionowego wojska. Natomiast dowództwo I Brygady ceni w Legionach nie jakąś organiczną formację austriackiego wojska, ale zalążek wojska polskiego, formację odrębną, która poświęcana być nie powinna. Z tego stanowiska ważniejsze jest oszczędzanie bytu tej formacji nielicznej, a ideowo tak ważnej, w której się streszcza cała ciągłość polskich walk o niepodległość, cała głęboka treść obecnego ruchu zbrojnego polskiego, niż kwestia spełnienia lub niespełnienia jakiegoś zadania austriackiego, gdyby nawet to lokalnie szkodę Austriakom przynieść miało. Gdyby nie ta oszczędność krwi w I Brygadzie, gdyby nie to ciągłe wyłamywanie się ze szranków uzależnienia się od armii austriackiej, to Legiony może by już zgoła zgubione były. To jest właśnie wielka przewaga I Brygady nad innymi zależnymi bezpośrednio od Komendy Legionów, służącej zadaniom austriackim. To nie przeszkadza, że tam, gdzie można waleczność w szeregach polskich wykazać, duch ich rozwinąć, cechy bojowe żołnierza wyszkolić, tam dowódcy I Brygady są jak lwy i nie tylko że się ognia i ofiar nie boją, ale gotowi są do poświęceń nad miarę, do jakich wojsko zawodowe z rekruta przymusowego utworzone, nie jest zdolne. Ale wysługiwać się Austriakom, dawać się im wyzyskiwać, służyć im tak jak każda inna cząsteczka austriackiej armii – do tego nie dopuszczą. I trzeba przyznać, że nasz Dąb, o którym niedawno tak niepochlebnie się w dzienniku moim wyrażałem, jest na to bardzo czuły i pod tym względem dużo robi. Być może, że go trochę za ostro sądziłem. Jest on dla mnie niesympatyczny – to prawda, ale zalety żołnierza i świadomego dowódcy-obywatela wojska polskiego ma. Poznałem go w bitwie pod Kostiuchnówką i w wyprawie na Gałuzję. W tej więc poniedziałkowej wyprawie na Gałuzję z góry już było przez dowódców naszych ułożone, że zdobywać jej kosztem

ofiar naszych nie będziemy, jeno będziemy symulować wykonanie rozkazu ataku, faktycznie zaś jeno spatrolujemy w kierunku wsi. IV kompania z Dragatem zaszła z prawego skrzydła pod wieś, my z frontu z zabezpieczeniem na lewo przez pluton III, wreszcie kawaleria nasza podsunęła się ze skrzydła lewego. Okopaliśmy się w pewnej odległości od wsi i obserwowaliśmy. Widzieliśmy Moskali przechodzących na lewo od wsi w pojedynkę za wzgórze, zapewne w okopy. Z prawego skrzydła IV kompania trochę strzelała, kawaleria w lasach natknęła się na jakieś stanowisko rosyjskie, z którego jej jednego konia zabito; nasz pluton trzeci zaszył się w lasach pod wsią. Nasz pluton II Dąb po niejakim czasie pchnął naprzód bliżej wsi, mając na tyłach pluton I. Tameśmy za krzaczkami przesiedzieli prawie do zmroku; przed odejściem postrzelaliśmy w kierunku cmentarza i wiatraka i cofnęli się wszyscy nazad do Maniewicz i Gorodka. Wracając słyszeliśmy gorący ogień walki w kierunku Maniewicz. To Moskale atakowali i, jakeśmy się później dowiedzieli, zostali odparci.

10 października, rok 1915, niedziela
Od niedzieli 3 października do wczoraj wieczora siedzieliśmy w Gorodku. Prócz poniedziałkowej z 4 października – wyprawy na Gałuzję – nie mieliśmy żadnej pracy. Tymczasem sytuacja na naszym odcinku się polepszyła. Od poniedziałku napływały coraz liczniejsze siły austriackie, piechota i artyleria (podobno przyszedł korpus cały), które nas zastąpiły. To, cośmy na tym odcinku pełnili z naszymi szczupłymi siłami (I i III pułki naszej Brygady i pułk VI od jakiegoś tygodnia), wynoszącymi coś nie więcej nad jakieś 6 tysięcy, hojnie licząc, zasileni jeno przez kawalerię austriacką i nieliczną artylerię, to teraz podjęły siły kapitalne regularnej armii. Toteż sytuacja wytworzyła się solidniejsza. Atak Moskali od Styru, wykonany z taką zaciętością pod Kostiuchnówką, który doprowadził do cofnięcia linii do Maniewicz i który zresztą został powstrzymany pod stacją Maniewiczami jeszcze przed przybyciem nowych sił austriackich, zamarł. Moskale mogli się porwać na nasze siły, gdy zmiarkowali pod Kołodją i w potyczkach pod Nowymi Podczerewiczami i Wólką Gałuzińską[8], jak są one wątłe liczebnie, ale ognia ofensywy nie starczyło im na długo. Cofając się spod Kostiuchnówki, nie byliśmy bynajmniej pewni, że się w Maniewiczach i Gorodku powstrzymać zdołamy. Sądziliśmy, że się wnet cofać będziemy dalej, do Stochodu, a niektórzy już nawet węszyli odwrót do Bugu. Tabory nasze istotnie się na razie główną masą cofnęły aż za Stochód. Tymczasem ofensywa rosyjska bardzo rychło się załamała. Nie pomogły, a bodajże zgoła nieprawdziwe były pogłoski o rzekomym zaopatrzeniu obecnie armii rosyjskiej w wystarczające zapasy amunicji z Japonii. Tak rychło i skutecznie braku amunicji się nie zażegna.
Co znaczy ewentualny dowóz z Japonii z takiej odległości i dla takiej armii ogromnej na front olbrzymi, idący od Rygi do Besarabii, wygięty brzuchem naprzód aż ku Berezynie i w łono bagien Polesia. Jeżeli przewspaniale uprzemysłowiona Anglia, korzystająca w dodatku z wolnego dowozu z Ameryki, ma ciągle kwestię amunicji i musiała utworzyć dla uzupełnienia tego braku specjalne ministerium amunicji, to cóż dopiero Rosja. W tych dniach doszły już do nas wieści, że odzyskana znów została Gałuzja i Kostiuchnówka, a nawet wzięta Kołodja, jeno pod Wólką Gałuzińską Rosjanie zdołali się oprzeć. Krótki więc był ich sukces. Atoli wczoraj nadeszła wiadomość, że gdzieś pod Karasinem, o wiorst 8-10 od Maniewicz-wsi, to znaczy na lewym skrzydle austriackiego postępu na Styr, Rosjanie się przerwali i odnieśli jakieś powodzenie. Wobec tego, wyprowadzono nas zaraz wieczorem z Gorodka, gdzie właśnie nasza II sekcja II plutonu zajmowała placówkę, do wsi Maniewicze, gdzie za tą

[8] Właściwa nazwa Wólka Gałuzyjska.

wsią na drodze do Karasina kompanię naszą ulokowano w polu w pogotowiu jako osłonę taborów. Taborów już zebrało się w Maniewiczach całe olbrzymie obozowisko i wciąż nowe wraz z kawalerią ciągnęły od Karasina. Do północy nasza sekcja wystawiała posterunki na drodze, mając placówkę w okopach, po północy zluzowała nas sekcja III. Kompania nasza biwakowała w pobliżu śpiąc w namiotach. My sobie rozbiliśmy namiot z Grzmotem. Noc była zimna. W namiocie, na paru wiązkach słomy konopianej, jakąśmy znaleźli, pod okryciem koców, spało się względnie znośnie. Dziś dzień spędziliśmy w Maniewiczach cały. Rano zakwaterowano nas w cerkwi, bo wszystkie chaty były pozajmowane. Pierwszy to raz legioniści nasi w cerkwi kwaterowali.
Oczywiście, byłoby lepsze, gdyby udało się uniknąć kwaterowania w świątyni, czczonej przez lud. Ale wobec potrzeby żołnierzy na wojnie ustać muszą względy inne. Samo kwaterowanie w cerkwi czy kościele nie jest takim złem okropnym; wszystko zależy od tego, jak się zachowuje w takiej kwaterze. Otóż stwierdzić muszę z przyjemnością, że nasi żołnierze nie tykali i nie rozrzucali przedmiotów kultu, jak Niemcy w Gorodku i stosowali się do tych przedmiotów poprawnie, choć oczywiście w cerkwi prowadzili życie jak na każdej kwaterze, to znaczy siedzieli w czapkach, palili papierosy, jedli obiad, grali w karty.

11 października, rok 1915, poniedziałek
Zanocowaliśmy w Maniewiczach, nie w cerkwi, bo nas wczoraj wieczorem wyprosili stamtąd Austriacy, których większa ilość przybyła i którzy się tam zainstalowali, ale w wiosce, gdzieśmy kwatery z pewnym trudem znaleźli. Wieś Maniewicze jest spustoszona zupełnie. Gorodok i Maniewicze, jako leżące na głównej drodze naszego pochodu, właściwie w punkcie połączenia dwóch dróg, jednej od Hulewicz i Trojanówki od strony Kowla, którędy myśmy postępowali, i drugiej od Karasina od strony Pińska, którędy szli Niemcy i częściowo Austriacy, od przeszło dwóch tygodni doświadczają na sobie ciągłych przemarszów wojsk i ciągłego ruchu taborów. Wszystko jest tu pojedzone, rozchwytane; w obu wsiach kilkakrotnie były pożary. U ludności miejscowej, która pozostała, nie znajdziesz ani kromki chleba, ani garstki mąki, ani kropli mleka, ani kurki, ani świnki, ani konia, szczególnie w Maniewiczach. Krówka należy tu do rzadkości, a jej posiadacz nie jest pewny ani dnia, ani godziny, kiedy mu ją ostatnią zabiorą. Źdźbło suchej słomy lub siana w stodole należy do przedmiotów zbytku i osobliwości, które się poszukuje omal że ze świecą w ręku (świec zresztą nie ma, łuczyna jest jedynym źródłem światła); każda grupa żołnierzy, która kwateruje w wiosce, jak każda partia koni, która ma tu postój, zużywa słomę na posłanie, ewentualnie dla koni na podściół, a ponieważ mnóstwo tego tędy się przesuwa i ciągle się zmienia, więc wszystkie zapasy ze wszystkich stodół są już wyczerpane. Chaty przedstawiają obraz nędzy i ruiny; sprzęty, łóżka, beczki, narzędzia, jakieś resztki sukman, płótna, szmat leżą w nieładzie na podwórzu, powyrzucane z wnętrza, aby kwaterującym żołnierzom więcej było miejsca w chacie i aby wewnątrz zamieść i pewną względną czystość ustanowić. Smutny to przedstawia widok. Ludność włościańska, której w Maniewiczach pozostało niedużo, gnieździ się skupiona w kilku chatach, żyjąc bodajże wyłącznie kartoflami. Zapasów kartofli jednak nikt nie ma, jeno się je co dzień nakopuje na swój użytek, gdzie kto chce, tak żołnierze, jak włościanie. A tymczasem nastają już przymrozki i zima się zbliża; ludność pozostanie wkrótce bez kartofli, bo to, co zdążą nakopać do zimy, to kropla w morzu potrzeby. Strasznie pomyśleć o losie ludności włościańskiej z tych wiosek. Wprawdzie Żydzi w Gorodku i chałupnicy bezrolni twierdzą, że gospodarze mają zboże i krupy pochowane w ziemi (zakopane) i wprawdzie po wielkich lasach okolicznych błąkają się jeszcze tułacze

włościańscy z trochą bydła i dobytku, ale to są też rzeczy niewielkie, tylko na czarną godzinę, dla opędzenia ostatecznej potrzeby, a zresztą Austriacy z taborów i landszturmu wciąż wyłapują z lasów i zagarniają stadka krów, jakie tam przyłapią. Żyto też tutaj na zimę nie posiane, tak że i w roku przyszłym będzie ciężko. Ludność cywilna włościańska w takich Maniewiczach jest zapędzona w kozi róg; czasem się widzi jakiegoś chłopa lub chłopkę jak cień, jak jakiś archeologiczny kopalniany zabytek wśród żywych ludzi – żołnierzy, którzy są tu wszystkim, są właściwymi panami, podczas gdy ona – to nędzni pariasi, plemię z łaski pańskiej pozostałe przy życiu. Ciężka i okropna jest wojna, pełna instynktu zniszczenia i gwałtu. Dzień w dzień się na niebie widzi łuny pożarów, dokoła spustoszenie i ruina, sprofanowanie, przewrócenie do góry wszystkiego, co społeczne, co z pracy i ładu, z prawa i zwyczaju powstało. Gdyby nie wolności kwiat, który z tej krwi i ruiny wykwitnąć może, gdy drogami postępu i reformy sprawiedliwości zdobyć i życiu dać ujścia naturalnego niepodobna – to gotów bym przekląć tę wojnę. Wobec zniszczenia, jakie się tu widzi w takich Maniewiczach i Gorodku, to dobrym jest stan pod Chełmem, a het w stronach Piotrkowa wprost błogosławiony. Trzeba też zdać sobie sprawę z tego, że ludnością tutejszą włościańską, ruską, nie zaopiekują się żadne komitety obywatelskie, jak w Polsce, ani też inteligencja miejscowa, bo ta jest zmoskwiczona i uciekła, ani chyba Rusini galicyjscy, bo ci są biedni, a mają dość pracy wspierania ludności w samej Galicji. Chyba więc rząd okupacyjny zajmie się żywieniem tego nieszczęsnego ludu, bo inaczej będzie tu głód. W Gorodku jeszcze jest niby, niby jakiś cień czegoś, ale w Maniewiczach spustoszenie zupełne.
Przed zmrokiem wymaszerowaliśmy z Maniewicz do Trojanówki, gdzie mamy mieć coś w rodzaju wypoczynku. W nocy po ciemku odbyliśmy męczący marsz kilkunastowiorstowy.

12 października, rok 1915, wtorek
Od dłuższego czasu omawiana jest sprawa odpoczynku dla Legionów, w szczególności dla I Brygady, która od czasu wyjścia znad Nidy, to znaczy od początku maja, jest wciąż w ruchu, wciąż w ogniu pracy wojennej. Odpoczynek już się należy żołnierzom, którzy są pomęczeni, a wiadomo, że nawet ze stanowiska militarnego żołnierz wypoczęty jest lepszym materiałem bojowym, niż żołnierz zmęczony i przez to zniechęcony do pracy. Wypoczynku już spodziewano się w Brygadzie, gdy ją spod Wysokiego Litewskiego w gub. grodzieńskiej zwrócono na Kowel, potem w Kowlu, ale tu nastąpiła ta wyprawa na Polesie na Styr, której uczestnikiem byłem. Wyprawa ta była szczególnie męcząca ze względu nie tyle na ogień, którego względnie było mało, ile ze względu na uciążliwe warunki partyzantki we właściwościach tego terenu, marsze przez lasy i błota, ciągłe zabezpieczenia boczne, szpice, patrole, ciągła służba na placówkach nocnych i wedetach itd. – to było bardziej wyczerpujące dla żołnierza, niż czasem jedna i druga większa bitwa. Gdyśmy szli na Styr, mówiono nam, a potwierdził mi to tak kompetentny człowiek, jak dr Rouppert ze sztabu Brygady, że po dojściu do Styru mamy być zluzowani przez inne wojsko (austriackie) i mamy otrzymać wypoczynek. Mówiono wprawdzie także, że władze wojskowe austriackie nie bardzo się kwapią z daniem nam tego odpoczynku i że nawet Komenda Legionów, z pewnych względów poniekąd tajnie niechętna Brygadzie, rzekomo przeciwdziała temu, ale ostatecznie coraz bardziej o wypoczynku mówiono i coraz bardziej się go spodziewano. W czasie naszego postoju w Kostiuchnówce i w momencie cofania się myśl i nadzieja wypoczynku jakoś się przygłuszyły. Zdawało się, że kwestia ta znów wypłynie dopiero po wyjaśnieniu i naprawieniu sytuacji. Ale wnet w Gorodku już w pierwszych dniach naszego tam pobytu po cofnięciu się, zaczęto znów o tym i to coraz uporczywiej i

konkretniej mówić. Miała przyjechać jakaś austriacka komisja militarna, która miała tu szeregi Brygady zlustrować i zawyrokować o potrzebie wypoczynku dla żołnierzy (między innymi, z okazji zapowiedzianego przyjazdu tej komisji wykopano w Gorodku przy kwaterach żołnierskich latryny, czyli doły ustępowe, w której to czynności i ja musiałem uczestniczyć). Gotowano się do przyjazdu komisji w ten sposób, że miano w porozumieniu z naszymi władzami Brygady zaprezentować jej w szeregach jak najwięcej żołnierzy chorych i źle wyglądających, zostawiając najlepiej wyglądających na kwaterach. Komisja ta jednak nie przyjechała wcale. O spodziewanym wypoczynku krążyły najrozmaitsze wersje: to mówiono, że ma on być gdzieś w okolicach Rzeszowa w Galicji, na co się wszyscy cieszyli, to znów, że gdzieś w tych stronach. Wszakże przez ten cały czas pobytu naszego w Gorodku i Maniewiczach, choć nie byliśmy na linii, pełniliśmy jednak służbę ariergardy i osłony taborów, ewentualnie nawet pogotowia na wypadek napadu kozaków, o których przedarciu się przez lasy na tyły nasze dochodziły pogłoski, a bodajże i wieści prawdziwe. Odpoczynku więc jeszcze nie było. Mogliśmy być każdej chwili pchnięci do walki na linię. Wreszcie zaczęło się wyjaśniać, że idziemy na odpoczynek parotygodniowy do sąsiedniej Trojanówki. Nie bardzo się to nam uśmiechało, bo Trojanówka, jak wszystkie wsie i miasteczka okoliczne, jest spustoszona przez wojnę, przez ucieczkę znacznej części ludności z dobytkiem, przez rabunki kozaków, wreszcie przez postoje naszych wojsk. Słaby więc to odpoczynek wśród wszy i pcheł, w braku wygód, środowiska kulturalnego, rozrywek i możności dostania czegokolwiek. Ale pocieszam się tym, że to tylko jest wstęp do właściwego odpoczynku, o który Brygada nie zaniedba robić starań. Tak samo już było w roku zeszłym, kiedy to dano Brygadzie gdzieś krótki odpoczynek, a dopiero po krótkim czasie udało się wystarać przeniesienie w inne miejsce na długi i dogodny odpoczynek. Starzy żołnierze i oficerowie ufali, że tak będzie i tym razem. Brygada, którą poniekąd słusznie nazywają „nie-wojskiem”, lecz „bandą” albo „spółką”, w polu, w ogniu waleczna i wspaniała, poza linią zaś bojową mająca cechy luźnego wolnego zbiorowiska bez tej specyficznej rutyny wojskowej, zna się na sposobach i kawałach do pozyskania tego, co chce i zmylenia rozmaitych intryg i przeszkód. Od brygadiera do szeregowca wszyscy umieją się wykręcać i dawać sobie radę, zachowując przedziwną solidarność. To umiłowanie swojej Brygady, ten duch korporacyjny w szeregach Legionu I Brygady – to wielka jej siła i cnota w takiej wspólnej sprawie, jak zbrojny czyn wolności. Do otrzymania wypoczynku dłuższego i gdzieś w lepszym miejscu w Galicji albo Królestwie może wiele dopomóc to, że nasz wódz Piłsudski właśnie świeżo okrył się wielką chwałą ze swoją czasową grupą w okolicach Łucka. Zdobył on łupy wojenne na Moskalach i akcją swoją umożliwił wielki sukces Niemcom, za co cały II pułk naszej Brygady ma otrzymać odznaczenia.

13 października, rok 1915, środa
Pisałem pozawczoraj, że przemaszerowaliśmy z Maniewicz do Trojanówki. Wszakże się okazało, że miejsce dwutygodniowego naszego „wypoczynku” wyznaczone jest nie w Trojanówce, lecz w sąsiednim o 3 kilometry odległym Czersku, tej samej wsi, przy której zdobywaniu przed niespełna miesiącem III baon naszego pułku stracił karabin maszynowy i musiał się przed kozakami cofnąć (wtedy to, gdyśmy w skutek tego wypadku musieli też opuścić dopiero co zajętą przez nas wieś Bereznicę i cofnąć w nocy za Stochód do Smolarów). Toteż tam pomaszerowaliśmy wczoraj rano z Trojanówki. Wszakże doktor stwierdził w Czersku cholerę i tyfus, wobec czego w części wsi kwaterowania i styczności z ludem zakazano, a wyznaczono kwatery tylko na jednym skraju wsi i to tylko czasowo, bo postanowiono ze względów zdrowotnych wyznaczyć nam inną wieś dla postoju. W Czersku ludność prawie cała pozostała na

miejscu. Ponieważ wieś ta leży nieco na uboczu, w pobliżu bagien Stochodu, więc wojska tędy mało przechodziło i dobytek ludności względnie ocalał. Są tu nie tylko krowy, ale i świnie, kury, kaczki i to w dużej ilości. Można dostać do syta mleka, nawet masła, jaj; włościanie mają chleb; da się kupić kurkę. Ludność jest życzliwa, otwarta, miła w obcowaniu; takim był przynajmniej gospodarz chaty, w której myśmy kwaterowali, i takimi też inni, o ile [dobrze] słyszałem. Ludność w Czersku jest na poły katolicka, choć używa języka ukraińskiego; opowiadali nam włościanie, tak katolicy, jak prawosławni, z wielkim uznaniem o działalności kulturalnej, humanitarnej i oświatowej księdza katolickiego miejscowego; znać też wpływ pracy kulturalnej na tym ludzie, z natury łagodnym i dobrodusznym, jak cały lud poleski. W Czersku zanocowaliśmy i rano dziś pomaszerowaliśmy z powrotem do Trojanówki, przeznaczonej za punkt stały naszego obecnego postoju. Z pewnych względów jest tu nawet dogodniej niż w Czersku. Wprawdzie trudniej coś dostać do zjedzenia, ale za to Trojanówka jest większym ośrodkiem skupienia naszej Brygady; tu mieści się sztab Brygady, tu są tabory, tu stoi więcej wojska naszego, a więc i poczta lepiej dochodzić będzie i fasunek regularniejszy, i nowin oraz wieści wszelkich jest się tu bliżej, i w ogóle związek ze światem zewnętrznym jest bliższy. Dla mnie to ma tę dogodność, że mam pewne projekty co do siebie, zwłaszcza na wypadek dłuższego wypoczynku, o których chcę pomówić z ludźmi ze sztabu Brygady, w szczególności z dr Rouppertem, a ewentualnie nawet z Piłsudskim, gdyby tylko on przez ten czas wrócił do nas. Pluton nasz rozkwaterowano w Trojanówce na skraju miasteczka w czterech chatach: w jednej sekcja I, w dwóch – sekcja II i w czwartej – sekcja III. Ja kwateruję z Grzmotem, Knapczykiem, Komackim i Weicharem[9]. Są to wszystko ludzie spokojni, względnie mniej lub bardziej inteligentni, a przynajmniej delikatni, choć na ogół prócz mnie i ewentualnie Grzmota, należą w plutonie naszym do mniej popularnych, dość zagnębionych. Chata, w której kwaterujemy, jest zamieszkała, to znaczy że jej gospodarze-włościanie pozostali na miejscu, a to zawsze jest pewnym plusem; najgorzej jest w opuszczonych, niezamieszkałych chatach. Gdzie są gospodarze, tam jest pewien ład zewnętrzny i wewnętrzny, pewien jakiś tryb życia, zbliżony do systemu rodzinnego, poza tym jest regularne ognisko, są sprzęty użytkowe, wreszcie można dostać coś do zjedzenia prócz ziemniaków, jedynej strawy żołnierza w opuszczonej chałupie, oczywiście jedynej poza urzędowym pokarmem z kuchni, którego jest stanowczo za mało (raz na dzień obiad z mięsem, to znaczy albo jakiś gulasz z fasolą, albo rosół z kawałem gotowanego mięsa, i dwa razy dziennie słodkawa konserwowa czarna kawa, która mi się już sprzykrzyła, do tego chleb po pół bochenka dziennie przeciętnie, no i co kilka dni czasem wino lub rum). Trojanówka jest prawie tak zniszczona, jak Gorodok. Kur i świń nie ma zupełnie, ale za to krów jest tutaj trochę więcej i mleko dostać można.

Wspomnę tu o zwiększeniu się naszej kompanii, której przybył cały pluton, złożony prawie że wyłącznie z Radomiaków. Są to rekruci nowozaciężni, którzy przeszli szkołę w batalionie uzupełniającym, ale rekruci złożeni z ludzi, którzy już przeważnie należeli poprzednio do organizacji bojowych i militarnych, tędzy i rośli, chłop w chłopa, nie tak, jak rekruci Lubliniacy, prawie że dzieci, których jest moc ogromna w całej Brygadzie. Radomiacy tworzą pluton IV. Nasza kompania jest zdaje się jedyną, która ma cztery plutony.

14 października, rok 1915, czwartek

[9] Weichar, legionista z 6 pp. III Brygady, czasowo w 2 plutonie 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.

Mamy się pod względem jedzenia nieźle w tej Trojanówce. Gospodyni chaty, w której kwaterujemy, daje nam mleka, kapuśniaku albo buraczków z suszonymi rydzami, kartofli pieczonych, jakiejś zupy z harbuzów (dyni) poleskich, kluski kartoflane, ziarnka harbuzowe do gryzienia itd. Chleba żytniego gospodarze tu nie mają zwykle, pieką go bardzo rzadko, jako wielką osobliwość, bo wojna prawie że zupełnie zniszczyła zapasy żyta; natomiast zastępują chleb wypiekaniem chleba z gryki (hreczki) z kartoflami, który mnie osobiście nie smakuje, ale inni żołnierze go lubią i kupują chętnie. Cały dzień zszedł nam spokojnie, bez żadnej służby ani zajęcia. Są pogłoski, że mamy otrzymać dłuższy wypoczynek bodajże w Sandomierzu albo ewentualnie w Lublinie. Wszyscy się z tej perspektywy cieszą, choć to jeszcze nic pewnego. Ja sobie na wypadek tego wypoczynku układam projekt wystarania się urlopu przez Piłsudskiego czy w ogóle starszyznę Brygady, za poparciem dr Roupperta, na którego liczę, w celu zajrzenia do Warszawy i następnie pojechania do siebie. Sądzę, że mi się to uda, bo są na to racje nie tylko bynajmniej osobiste; dla samej sprawy byłaby stąd korzyść, bo bym mój urlop wykorzystał politycznie przez odpowiednią akcję u nas na miejscu, co jest bardzo potrzebne, a do czego mój udział może być bardzo zdatny, zwłaszcza teraz, gdy z poprzednimi cechami moimi łączę w sobie cechy legionisty. Tu w Trojanówce, zdaje się, że to jeszcze formalnie nie jest wypoczynek; właściwie pono liczymy się w rezerwie. Podobno postój nasz w Trojanówce ma wyznaczony termin do 26 października.
Miejsce wolne do pisania mi zostaje. Skorzystam więc, żeby scharakteryzować kolegów moich czy towarzyszy broni z naszego plutonu. O naszym dowódcy kompanijnym poruczniku Dębie (Stefanie Biernackim) już pisałem. Może byłem dlań niesprawiedliwym i za ostro sądziłem. Stopniowo w miarę poznawania go, ujemne wrażenie, które on na mnie sprawiał, łagodzi się i sąd mój o nim się zmienia. Sympatyczniejszym on dla mnie nie jest, ale nie mogę już twierdzić, aby to był człowiek kierujący się wyłącznie kaprysem, zmanierowanym przez ciągłość stosowania, nie zaś pobudkami ideowymi. Kaprys istotnie gra u niego dużą rolę, ale niezależnie od tego jest on człowiekiem idei, ofiarnym i zwłaszcza jest wiernym piłsudczykiem, to znaczy, że ducha Brygady czuje i rozumie, piastuje go w łonie swoim szczerze i gorąco kocha sprawę, wcieloną w czyn Brygady. Jest to rycerz sztandaru, któremu zaufać można. Wierność i ścisłość służenia sztandarowi Brygady stawia on ponad swój kaprys. O plutonowym naszym komendancie, młodym podporuczniku Stawińskim-Kozickim nie dodam tu nic jeszcze do tego wrażenia osobistego, które o nim w dzienniku raz nakreśliłem. Jeszcze go znam za mało; może innym razem go scharakteryzuję. W każdym razie, musi to być niezły chłopiec, ale jeszcze bardzo młody, bardzo zielony na innych polach życia poza sztuką wojenną. Jest odważny, wojskowo staranny. Tymczasem nic więcej. Dalej idzie sierżant zafrontowy naszego plutonu, Kosa (właściwie jego nazwisko brzmi Władysław, zdaje się – Morwicer), który *eo ipso* jest z urzędu zastępcą komendanta plutonowego. Zdaje się, że jest on pochodzenia niemieckiego, na co też wskazują pewne fizyczne cechy jego wyglądu z twarzy, wyrazu i głosu. Rodem jest z Galicji, zdaje się, że zachodniej, z Dębicy, jeżeli się nie mylę. Fach w jego życiu cywilnym jest nieokreślony jeszcze, bo dopiero studia odbywa; stara się on właśnie obecnie o urlop dla zdawania egzaminów, zdaje się, że na maturę. Jest to człowiek lat przeszło 20. O nim mogę powiedzieć właśnie odwrotnie, niż o Dębie i na razie mi się on bardzo podobał, w miarę zaś, jak go poznaję, to dostrzegam w nim coraz więcej ujemnego i dziś już stanowczo mi się nie podoba. Zasadniczą jego cechą jest słaba wola i brak samodzielności. Stara się on we wszystkim dogonić innych i robić tak jak inni, zwłaszcza jak ci, którzy rej wodzą i umieją imponować. Toteż ponieważ np. upowszechnione jest klęcie i używanie nieprzyzwoitych słów, więc Kosa

robi to aż do przesady, nie mając miary i lubując się w plugastwie. Nic zaś nie ma w nim wrodzonej brawury, więc to brzmi w jego ustach niesmacznie i jeszcze brudniej, niż u innych. Na ogół jest to marna jednostka, ani dobra, ani zła - mierna i słaba.

15 października, rok 1915, piątek
Dziś rano zarządzono u nas ćwiczenia. Jest to rzecz zwykle praktykowana na odpoczynkach żołnierskich w czasie wojny, przynajmniej w Legionach; chodzi o zapełnienie czasu, o pewien ruch fizyczny dla żołnierzy, ewentualnie nawet dla zdrowia pożyteczny, wreszcie nade wszystko, jak się zdaje, o wymusztrowanie szeregowe legionistów, o wydyscyplinowanie ich, o wyrobienie z tego ochotniczego materiału surowego, jakimi są zawiązki armii regularnej. Legioniści mają ducha bojowego, są waleczni w ogniu, biją się dobrze, ale poza linią, w marszu, w wymusztrowaniu technicznym, w dyscyplinie służbowej – są bardzo luźni i często bardziej przypominają cywilów-„obywateli", ubranych w mundury wojskowe, niż regularnego żołnierza. Ale swoją drogą legioniści nasi nie lubią tych ćwiczeń na odpoczynku, bo są one rzeczywiście nudne i psują kwietyzm wypoczynku, tak drogi dla żołnierza, znużonego służbą. Wyprowadzono nas na łąkę czy pole w pobliżu naszych kwater i tam ćwiczono w elementarnej musztrze frontowej, wpierw plutonami pod komendą plutonowych oficerów, a następnie całą kompanią pod komendą Dęba. Wykonywaliśmy zwroty na prawo, na lewo, w tył, zbiórki, formację kolumny czwórkowej, pozycje na baczność i na spocznij, równanie itd. Trwało to parę godzin, bo Dąb szczególnie się uwziął, aby doprowadzić nas do zgodnego taktu w ruchach. Po obiedzie o godz. 3 obywatel Szarski[10], kompanijny sierżant liniowy, wykładał w naszym plutonie o służbie wewnętrznej, w szczególności o subordynacji, drodze służbowej i pewnych szczegółach formy w meldowaniu, salutowaniu itp. Chciałem dziś zobaczyć się z dr Rouppertem, do którego się już zgłaszałem i w dniach poprzednich, ale go jeszcze nie ma: wyjechał do Kowla i dotąd nie wrócił; wyjazd jego jest połączony ze staraniem o wypoczynek dla nas. Chciałem z nim pomówić o moim ewentualnym wyjeździe na czas jakiś, a także w związku z tym o pewnym szczególe mego zdrowia; chodzi o to, że mi się od skrobania i drapania po ciele z powodu wszy i pcheł oraz brudu zrobił jakiś rodzaj świerzbu, z którego się następnie zaczęły wytwarzać lokalne ranki w naskórku, szczególnie na nogach poniżej kolan do stopy, ale już posuwają się i wyżej. Jest to rzecz przykra bardzo, bolesna i uciążliwa, jak każda choroba skórna, ciężka do uleczenia, bardzo uporczywa. Z tej bolączki jestem właściwie obecnie niezdatny do marszu i wszelkich ćwiczeń i otóż chodziłoby mi o to, aby sprawę wyleczenia się z tego połączyć ze sprawą mojego wyjazdu, który nawet nie byłby faktycznie urlopem i zwolnieniem ze służby, jeno czasowym i okolicznościowym zużytkowaniem mnie do innej roboty w tym ideowym zakresie, z tym oczywiście, że wróciłbym nazad do Brygady. Muszę to jednak odłożyć do powrotu Rouppertа. Rano, przed ćwiczeniami jeszcze, szczepiono nam cholerę w brzuch. Dla mnie to nie było bolesne, choć wolałbym tego uniknąć; inni jednak bardzo się skarżyli na ból tego szczepienia. Z dnia dzisiejszego mam jeszcze do zanotowania napisanie listu do Warszawy do Artura Śliwińskiego w sprawie także naszego ruchu i jego stosunku do mojego kraju czy moich stron oraz o ewentualnym moim przyjeździe. List ten przesłany będzie okazyjnie przez Lublin, dokąd jutro wyjeżdża sierżant prowiantowy naszej kuchni Znicz[11] wraz z obywatelem Łopuskim, legionistą z I plutonu naszej kompanii. Resztę wolnego miejsca poświęcam charakterystyce kolegów z plutonu naszego. Pisałem o podoficerze zafrontowym

[10] Mieczysław Edward Szpanier, pseud. Szarski, członek PDS we Lwowie, sierżant I Brygady, poległ w 1918 r.
[11] Przypuszczalnie Władysław Żyborski, członek PDS w Kołomyi, sierżant I Brygady.

sierżancie Kosie. Jest to nicość słaba, człowiek bez temperamentu i bez charakteru, nadrabiający miną i starający się utrafić w ton brawury wiarusa; ale zamiast tego brnie w niechlujstwo słowa. Jest człowiek ani zły, ani dobry, próżnia pospolita i mała; nie popełni wielkiej zbrodni ani wielkiego czynu, bo go ani na jedno, ani na drugie nie stać. Pluton podzielony jest na trzy sekcje. Kapralem sekcyjnym w I sekcji jest obywatel Bohun, człowiek w kwiecie wieku ± 25. Z fachu jest leśniczym, inteligentem, pochodzi zdaje się z Królestwa, ale mieszkał i posadę miał w Galicji Wschodniej. Jest to mężczyzna wysoki, przystojny, o czarnym zaroście i wydłużonej nerwowej twarzy. Bohun – to pseudonim. Ma pewne cechy sympatyczne i dodatnie w swej naturze, mianowicie wyrazistość, temperament. Wszakże nosi się dość z wysoka w stosunku do ogółu kolegów, wyłączając tych, którzy umieją się stawiać (w stosunku do mnie naturalnie na wyniosłość sobie nie pozwala, choć jesteśmy z daleka od siebie, na stopie umiarkowanie grzecznej). Zdaje mi się, że ten człowiek mógłby być bardziej ideowym, gdyby nie nadmiar brawurowej maniery w mniemaniu o sobie.

16 października, rok 1915, sobota
Dziś rano zarządzono nagle zbiórkę w pełnym rynsztunku i wyprowadzono cały nasz batalion z Trojanówki na drogę do Czerska. Nie wiedzieliśmy, o co chodzi i dokąd nas prowadzą. Posypały się różne domysły. Okazało się wszakże, że tu chodzi o szóstaków, którzy się do nas poprzednio przyłączyli. Tych zbiegów z VI pułku, którzy, korzystając z pewnego zamieszania, przyłączyli się pod Kostiuchnówką do I Brygady, jest u nas sporo. W naszym plutonie jest ich pięciu: Moskwa, Sznejder[12], Krawczyk[13], Weichar i Kowalski[14]. Wszyscy oni albo prawie wszyscy ci szóstacy z naszego plutonu, byli wpierw w II Brygadzie, skąd, będąc ranni albo chorzy, trafili na tyły. Tam po ich wyzdrowieniu wcielono ich do formującego się VI pułku III Brygady. Do tegoż formującego się pułku wcielono bardzo wielu legionistów z I Brygady, biorąc ich ze szpitalów, z domu rekonwalescentów i w ogóle zewsząd z tyłów. Przyszły dowódca III Brygady Grzesicki wymógł od nich słowo, że nie uciekną do I Brygady. Słowo to było wymuszone właściwie groźbą, że o ile ktoś go nie da, to zostanie wysłany do II Brygady do Besarabii. Ta II Brygada na Besarabii, rzucona daleko od reszty Legionów, na obczyźnie, jest postrachem dla każdego legionisty, jest uważana za coś równającego się zesłaniu. Toteż biedacy dali słowo, ale w duszy wielu ukryło postanowienie ucieczki do Brygady przy pierwszej okazji, wbrew wymuszonemu słowu. Toteż nad Styrem, jak tylko pułk VI spotkał się z Brygadą, wnet się zaczęły wypadki „dezercji”, ułatwione przez bitwy i rozsypkę poszczególnych oddziałów. Wciąż jakiś szóstak zgłaszał się do tej lub innej z naszych kompanii i był natychmiast do niej wcielany. Nasi komendanci, zwłaszcza np. Dąb, ze szczególnym upodobaniem, z jakąś złośliwą radością, w której wyrażało się uczucie zemsty na Komendzie Legionów za krzywdy I Brygady i za wykradanie jej ludzi, przyjmował każdego takiego zbiega-szóstaka. Zgłaszali się tak ci, którzy już byli poprzednio w I Brygadzie, jak ci, którzy byli poprzednio żołnierzami II Brygady. I Brygada bowiem, tak ze względu na popularne imię jej wodza Piłsudskiego, uwielbianego przez żołnierzy, jak na sławę dowódców oficerów, jak wreszcie na tę legendę ideową jedynego istotnego wojska polskiego, ma taką atrakcję dla wszystkich legionistów, że wszyscy ze wszystkich brygad marzą i tęsknią do niej i do niej pragną należeć. I Brygada w oczach legionistów – to jedyna prawowita Legionów Polskich macierz, ich łono serdeczne. Tymczasem władze pułku VI były oburzone samowolnym przechodzeniem swych szeregowców do nas i nie mniej oburzone na dowódców

[12] Sznejder, legionista z 6 pp. III Brygady, czasowo w 2 plutonie 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.
[13] Prawdopodobnie Antoni Krawczyk, wcześniej legionista 9 kompanii 6 pp.
[14] Kowalski, legionista z 6 pp. III Brygady, czasowo w 2 plutonie 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.

naszych, że zbiegów tych przyjęli. Już wczoraj zawiadomiono nas, że dziś wszyscy szóstacy mają być od nas pobrani i wyprowadzeni do grupy Piłsudskiego. Być może, że dowódcy nasi obawiali się, aby Komenda Legionów nie zarządziła rewizji w naszych szeregach na rzecz VI pułku dla odebrania albo też lękała się, aby żandarmeria VI pułku, konsystująca w Trojanówce, nie poznała szóstaków i nie zażądała ich zwrotu, co byłoby dla Brygady naszej kompromitujące. Słowem, postanowiono szóstaków wszystkich zebrać i wyprowadzić stąd; przypuszczamy, że zostaną oni przydzieleni do II pułku naszej Brygady, wchodzącego do grupy Piłsudskiego, albowiem tam będą oni bezpieczniejsi i już sama osoba Piłsudskiego będzie gwarancją, że się władze Komendy Legionów nie targną na ich odebranie, bo się z Piłsudskim muszą liczyć. Zresztą jest to tylko nasze przypuszczenie, bo z pewnością nie wiemy, po co ich tam poprowadzono. Ażeby wszakże to się nie rzucało w oczy, gdy gromadkę szóstaków przez miasteczko prowadzić będą, co może obudzić czujność żandarmerii VI pułku, poprowadzono nas wszystkich bez wyjątku w pełnym rynsztunku przez całą wieś i dopiero za wsią w polu przed lasem na drodze do Czerska zatrzymano; tam złożyliśmy w kozły broń i zdjęliśmy rynsztunek, a dopiero rozpoczęły się ćwiczenia plutonami (ja w ćwiczeniach udziału nie brałem, bo się z powodu chorych nóg zwolniłem). Po ćwiczeniach naszych szóstaków oddzielono i poprowadzono dalej, my zaś w rynsztunku pomaszerowaliśmy nazad przez Trojanówkę na kwatery nasze. Tak się dokonało gładko odseparowanie szóstaków od nas. Jest nowina wielka z wojny światowej: Bułgaria określiła się ostatecznie po stronie państw centralnych i wypowiedziała wojnę Serbii, Rosji, Francji i Anglii. Daleko jeszcze do likwidacji wojny, przeciwnie – rozrasta się ona coraz bardziej, zapalając coraz nowe ogniska zagadnień i walki. Wystąpienie Bułgarii ma doniosłe znaczenie. Francja i Anglia zaniechają, zdaje się, beznadziejnego forsowania Dardanelów przez półwysep Gallipoli i przeniosą akcję na Saloniki na terytorium neutralnej dotąd Grecji, by stamtąd poprowadzić akcję na Bułgarię i Turcję. Skądinąd spodziewać się można energicznego sforsowania Serbii od strony Austrii i Bułgarii i rozciągnięcia jednolitego ciągłego frontu od Belgii do Turcji, co ułatwi akcję państw centralnych.

17 października, rok 1915, niedziela
Wczoraj zacząłem kurację moich chorych nóg. Wpierw nie chciałem się z tym zwracać do naszych doktorów, jeno czekałem powrotu dr Roupperta, z którym, jako osobistym znajomym, chciałem się rozmówić w sprawie ewentualnego zwolnienia się mego dla wyjazdu, w związku też z potrzebą zdrowia. Ale z nogami mymi było coraz gorzej, a dowiedziałem się, że dr Rouppert pojechał jeszcze z Kowla do Łucka i dopiero za dni kilka wróci. Czekać już dłużej nie mogłem. Nogi mi się raniły coraz gorzej. Rany przysychały do bielizny, od której je następnie odrywać trzeba było. Zdecydowałem się zwrócić do lekarza. Ponieważ doktora batalionowego, Szalli[15], nie było, zwróciłem się do doktora Jakowickiego[16], lekarza pułkowego. Zresztą sympatyczniejszy to o wiele człowiek od Szalli. Pochodzi z Litwy, rodem jest z powiatu dziśnieńskiego gub. wileńskiej z pogranicza gub. witebskiej i w Witebsku był w szkołach. Obejrzał mi on

[15] Kazimierz Szalla, dr med., ppor. Legionów, lekarz w 5 pp. W Polsce niepodległej, m.in. szef sanitarny OK Lublin ze stopniem płk lek.
[16] Władysław Marian Jakowicki (1885-1942?), lekarz I baonu 1p.p. LP, następnie 1 pp. LP, przeszedł całą kampanię bojową pułku, po zwolnieniu z Legionów pracował w klinice we Lwowie. Od XII 1918 r. ponownie w WP, był ordynatorem szpitala wojskowego w Chełmie. W kwietniu 1920 r. awansowany na ppłka lekarza. W marcu 1921 r. przeniesiony do rezerwy. W okresie międzywojennym pracował w klinikach uniwersyteckich Warszawy i Wilna. W l. 1929-1930 był dziekanem wydziału lekarskiego Uniw. Stefana Batorego. Po zajęciu Wilna przez wojska sowieckie aresztowany i zesłany w głąb ZSRR. Zmarł tam w l. 1940-1942.

nogi, wysmarował rany balsamem peruwiańskim, zabandażował i odtąd co dzień będą mi robione opatrunki przez obywatela Kamerę, sympatycznego sanitariusza batalionowego, studenta medycyny z Krakowa.
Nic osobliwego w dniu dzisiejszym nie zaszło, toteż zużyję miejsce w dzienniku na kontynuowanie charakterystyki moich towarzyszów z plutonu. A więc dalej sekcja I. Kapralem sekcyjnym jest Bohun, o którym już pisałem. Zastępcą sekcyjnego, czyli starszym żołnierzem był w I sekcji Dziengiel, który nam zginął pod Kostiuchnówką. Nic o nim nie wiemy, co się stało. Jeżeli nie został zabity, to się dostał do niewoli rosyjskiej. Był to stary żołnierz, który już od roku był na wojnie. Był zawsze w szeregu, a nigdy nie był ranny. Takiego żołnierza bardziej jeszcze szkoda, niż którego z nowicjuszów. Dziengiel należał do grupy Borysławczyków w naszym plutonie. W plutonie naszym bowiem są następujące grupy legionistów: przede wszystkim najstarsi, ci, co od samego początku wojny stanęli do szeregów i byli jeszcze w pierwszej formacji strzeleckiej, która wkroczyła w Kieleckie pod wodzą Piłsudskiego jeszcze przed powstaniem Legionów. Żołnierzy tej kategorii, najstarszej wiary, jest najmniej. Drugą kategorię tworzą Borysławiacy. Jest to młodzież z Borysławia z Galicji Wschodniej, która należała do przedwojennych organizacji strzeleckich albo też nie należała. Ci wkrótce po wybuchu wojny i powstaniu Legionów zaciągnęli się i przez parę miesięcy czy miesiąc byli ćwiczeni w Krakowie jako batalion uzupełniający, a następnie w październiku roku zeszłego poszli do szeregów i od bitwy pod Laskami, gdzieś w kierunku Iwangrodu, są stale w szeregu. Są to więc już także starzy żołnierze obecnie. Ta grupa Borysławiaków zapełniła właśnie szeregi naszej kompanii, a przynajmniej w naszym plutonie jest licznie reprezentowana, stanowiąc jego tło. Z tego, co słyszę od innych i co ewentualnie trochę jeszcze zaobserwować mogę i co wiem, najlepszy, najtęższy ideowo, najszlachetniejszy element w Legionach stanowiła stara wiara, to mianowicie, co pierwsze pod Piłsudskim stanęło do walki. Byli to ludzie najbardziej wyrobieni ideowo, najpełniejsi poświęcenia i wiary, którzy szli nie oglądając się na nic. Dziś są oni w szeregach rzadkością. Wielu z nich zginęło, inni są rozproszeni po kompaniach, mając szarże rozmaite, wreszcie część ich z powodu chorób i ran odpadła i pełni poszczególne czynności na tyłach. Ta druga, późniejsza od pierwszej, fala starych żołnierzy z Galicji przedstawia już materiał ludzki słabszy od poprzedniego, przede wszystkim słabszy duchowo. Ci poszli do szeregów już nie pierwszym odruchem wiary i ideału, ale wtedy, gdy Legiony stały się już w Galicji popularne, gdy wstąpienie do nich stało się zaszczytem, gdy przeto był pęd w tym kierunku, nie zaś męka, ofiary, albo też poszli dlatego, aby nie być wziętym do wojska austriackiego. Do tej kategorii należą właśnie nasi Borysławczycy. Szli oni myśląc, że wojna wkrótce się skończy, że będzie ona raczej świetną wyprawą zwycięską, niż tą straszliwą wojną, jaką jest. Nie własny ogień ofiary męczeńskiej, ale zapał społeczeństwa galicyjskiego dla Legionów pchnął tę młodzież do szeregu. Dziś są oni wojną znużeni.

18 października, rok 1915, poniedziałek
Piszę w dalszym ciągu o naszym plutonie. Składa się on, jak każda formacja, z warstw i pokładów materiału ludzkiego, z którego jest utworzony. Są więc znikome szczątki starej wiary z pierwszych strzeleckich szeregów, jest dalej gruby pokład Borysławczyków z okresu, gdy społeczeństwo galicyjskie poparło ruch strzelecki i rozwinęło takowy w dzieło Legionów, darząc go zapałem i daniną ofiarną swojej młodzieży. Ten element jest nieco pośledniejszy od starej wiary, jest mniej ideowo hartowny. Są to już nie orły, ale ludzie przeciętni z szeregów rozentuzjazmowanego społeczeństwa. Gorączka zapału, która ogarnęła społeczeństwo, udzieliła się całej

prawie młodzieży, toteż szli liczni, nie zaś tylko duchy wybrane, charaktery wielkie, zdolne na ideę wielką i czyn samotny. Są więc tu wśród nich ludzie różni, lepsi i gorsi. Wreszcie trzecią kategorię w plutonie naszym stanowią Lubliniacy. Jest to jeszcze młody żołnierz, prawie że rekrut, który od jakiegoś 1 ½ miesiąca jest w szeregu regularnym, a poprzednio przez kilka tygodni się ćwiczył w batalionie uzupełniającym. Lublin bodajże więcej od któregokolwiek bądź innego miasta w Królestwie Polskim dał do Legionów żołnierza. Nie sam zresztą Lublin, ale w ogóle Ziemia Lubelska. Lublin i Ziemia Lubelska zawsze górowały w Królestwie nad innymi miastami i ziemiami oświatą i uspołecznieniem ludu, myślą patriotyczną, duchem społecznym. Tak było przynajmniej w ostatnim okresie czasów. Lublin był głębszy od innych dzielnic Królestwa, bardziej czujny i żywy, może poniekąd dlatego, że bliższy kresów, bliższy ucisku i walki o wolność, może też przez swój charakter głębszy i stateczniejszy, niż u Mazurów. Chłopi w Lubelskiem byli bardziej rozwinięci, prasa lubelska wyróżniała się zawsze dodatnio i zaszczytnie z całej prowincjonalnej prasy w Królestwie, a nawet pod względem wartości ideowej (oczywiście nie środków technicznych) mogła rywalizować z warszawską i w ogóle w ruchu społecznym Lublin nie był tak bezbarwny, tak bezindywidualny, jak reszta prowincji Królestwa zupełnie przez Warszawę wyjałowionej. Od początku wojny sympatie austrofilskie były wybitne w Lublinie, a jeszcze bardziej wzrosły w długim okresie inwazji rosyjskiej w Galicji. Moskalofilstwo, tak rozwielmożnione w samej Warszawie i uporczywie dotąd na prowincji Królestwa, a nawet na lewym brzegu Wisły, w takiej Ziemi Piotrkowskiej, w Lublinie i Ziemi Lubelskiej nie rozwinęło się wcale. Prasa lubelska bez wyjątku stała pod sztandarem niepodległości. Idea Legionów była żywa w sercach ludu lubelskiego. Toteż gdy latem tego roku Lublin został z rąk Moskali uwolniony, ludność gorąco otworzyła serce Legionom. Zresztą Lublin miał ten przywilej, rzadki dla miast w Królestwie, że natychmiast po wypędzeniu zeń Moskali, ujrzał wkraczające do swych murów Legiony. Nikt też nigdzie w Królestwie tak serdecznie i pięknie, a zarazem z godnością i mądrym zrozumieniem istoty zjawisk, nie przywitał Legionów, jak właśnie Lublin i w szczególności dziennik „Ziemia Lubelska". Toteż pod wpływem gorącego zapału dla sprawy młodzież lubelska od razu na zawołanie stanęła w wielkiej liczbie do Legionów. Młodzież ta była surowa; nie byli to, jak w Galicji, chłopcy wyćwiczeni od lat kilku w specjalnych organizacjach strzeleckich; tylko nieznaczny procent był zorganizowany bojowo w skautowskich i innych związkach. Większość szła na ochotnika bez żadnego przygotowania, powodując się tylko sercem i zapałem. Szła zwłaszcza młodzież najmłodsza, niedorosła jeszcze do lat 20, której Moskale nie zdążyli jeszcze zarekrutować: szli uczniowie szkół średnich, szła młodzież rzemieślnicza miejska, szła młodzież ze służby dworskiej, poniekąd też z chłopskich włościańskich dzieci, choć ci ostatni najmniej. Lubliniacy dali kilka partii tego młodego surowego rekruta. Otrzymali oni, tak jak Warszawiacy (przynajmniej pierwszy zastęp strzelców warszawskich), przywilej wcielenia do I Brygady, ale że to był rekrut młodociany i surowy, nie utworzono z nich żadnej osobnej formacji, żadnych kompanii albo plutonów lubelskich, jak wytwarzano z innych partii rekruckich, na przykład specjalna kompania warszawska w III baonie, specjalny pluton Radomiaków w naszej kompanii itd. Rekrutów lubelskich porozrzucano po wszystkich kompaniach i plutonach; wszędzie jest ich pełno. Są oni najmłodszym elementem w Legionach. Pierwszy ich zastęp już jest wcielony od 1 ½ miesiąca; inne zastępy były powcielane (nie do naszej kompanii tylko) – później. Prócz kategorii starej wiary, Borysławiaków i Lubliniaków, są w naszym plutonie jednostki, jak ja i inni, co zaciągnęli się pojedynczo i są poza kategoriami.

19 października, rok 1915, wtorek

Nasz pluton przez cały dzień wczorajszy, od śniadania do zmroku, ćwiczył się w marszu paradnym, ponieważ dziś miał wyruszyć do miasteczka Hulewicz dla zaprezentowania się jakiemuś generałowi pruskiemu, podobno szefowi sztabu armii Linsingena[17]. Obecnie bowiem cała ta linia frontu, do której należy i nasz odcinek wołyński, wchodzi w skład grupy wojsk generała Linsingena, który przeto jest tu naczelnym dowódcą. Poprzednio wojska naszej części frontu należały do grupy Mackensena. Obecnie Mackensen działa na froncie serbskim, który z podrzędnego staje się coraz bardziej aktualnym i pierwszorzędnym. Już samo przeniesienie na front serbski tak znakomitego i ofensywnego wodza, jak Mackensen, świadczy o wadze, jaką się do frontu tego przywiązuje i o przygotowywanych wypadkach na tym froncie. Jakoż istotnie podług gazet sprzed dni 9-10, które tu już przyszły, na froncie serbskim już są ruchy poważne. Przekroczona jest przez wojska niemiecko-austriackie Dryna, Sawa i Dunaj, Białogród[18] zajęty. Z generałów, a przeto także ich armii, które poprzednio działały na froncie rosyjskim, obecnie zaś są wymieniani w depeszach z frontu serbskiego, jest generał Koevecs i generał Gallwitz. Tam na Bałkanach rozpoczyna się nowy potężny akt dramatu wojennego. Tu więc oczywiście Linsingen obejmuje naczelne dowództwo i sztab jego robi przegląd sił. Wszakże dziś zapowiedzianej parady w Hulewiczach nie było. Została ona odwołana i wymarszu z Trojanówki nie było. Zresztą już nie brałem udziału w ćwiczeniach wczorajszych i nie miałem maszerować do Hulewicz, bo się w ogóle zwolniłem od wszelkich ćwiczeń z powodu choroby nóg. Mam do zanotowania ważną dla mnie rzecz, która oby się tylko spełniła, ale da Bóg, że nic temu na przeszkodzie nie stanie. Poszedłem dziś mianowicie do dr Roupperta do sztabu Brygady. Dowiedziałem się wczoraj, że Rouppert już wrócił. Jeździł on dla wystarania się o odpoczynek dla Brygady i zamierzał sprowadzić ze sobą komisję lekarską z Komendy austriackiej dla orzeczenia o potrzebie wypoczynku. Komisji nie udało mu się sprowadzić; wniesiona została jeno prośba do Głównej Austriackiej Komendy Armii o wydelegowanie tej komisji, a tymczasem nasza Brygada, po skończeniu obecnego krótkiego wypoczynku, co nastąpi już 26 bm., wyruszy znowu na linię. Poszedłem do Roupperta, aby z nim się poufnie poradzić i pomówić w mojej sprawie, to znaczy co do mego zdrowia i ewentualnego urlopu choćby dla kuracji. Rzecz poszła nadspodziewanie dobrze. Dr Rouppert przyjął mnie bardzo uprzejmie, nawet serdecznie. Wysłuchał mnie, a gdym mu powiedział o moim cierpieniu i potrzebie kuracji, nie mówiąc nic jeszcze o zamiarach urlopu, Rouppert sam pierwszy powiedział na to, że taka kuracja nie na linii jest możliwa przecie. Wówczas pochwyciłem to jego zdanie i wysunąłem natychmiast mój projekt urlopu na czas kuracji i zapewniłem przy tym, że daleki jestem od chęci marudowania lub dezerterowania z szeregów, że nie jestem młokosem i nie z chwilowego uniesienia do Legionów wstąpiłem, toteż nie myślę o zwianiu z nich teraz ani też nie zniechęciłem się do dalszego udziału. Rouppert zrozumiał mnie i zgodził się ze mną w zupełności, aprobując myśl moją o urlopie. Uprzedził jeno, że to wykracza poza zakres jego kompetencji, a nawet że udzielenie urlopu przewyższa władzę Śmigłego, stojącego czasowo na czele całej tutejszej grupy naszej Brygady (I i III pułku), ale że za parę dni przyjedzie do Trojanówki szef sztabu Brygady, podpułkownik Sosnkowski, z którym Rouppert pomówi i załatwi rzecz mego urlopu, który mi zostanie udzielony w formie „dla poratowania zdrowia". Gdyby zaś nie dała się rzecz załatwić przez Sosnkowskiego, to Rouppert załatwi to listownie przez Piłsudskiego. Rouppert dodał, że ponieważ wypoczynek w Trojanówce potrwa jeszcze tydzień, więc przez ten czas rzecz się zrobi.

[17] Alexander von Linsingen (1850 – 1935), generał niemiecki dowódca armii w operacji karpackiej I-II 1915 r.
[18] Białogród – dawna nazwa Belgradu.

Upewnił mnie tak i to w sposób tak prosty, tak serdeczny, że wyszedłem z całą otuchą. Konieczne mi to jest dla mego zdrowia, dla tej choroby skórnej, która, jak wszystkie tego rodzaju, jest uporczywa i ciężka. A nie zmarnuję mego urlopu pod względem pożytku dla sprawy – to pewne.
Pod wieczór dziś zaczęły coś krążyć pogłoski o jakiejś klęsce Niemców i Austriaków w pobliżu, o posunięciu się znacznym Rosjan w kierunku na zachód od Styru. Od dwóch dni słyszeliśmy wyraźnie w Trojanówce kanonadę. Dziś po obiedzie ciągnęły do strony Gorodka liczne treny austriackie i niemieckie, zwiastuny cofania się. Zaczęto mówić pod wieczór, że Maniewicze i Gorodok są już przez Moskali zajęte, choć trudno wszystkim takim wieściom wierzyć. Na noc Trojanówka zaroiła się od budujących taborów. Że coś się stało niedobrego na linii, to już nie ulegało wątpliwości. Pluton nasz na noc otrzymał placówkę. Zaczęto przebąkiwać o możliwości wymarszu jutro na linię. Podług wieści rzekomo ściślejszych, które się w nocy rozeszły, Niemcy zostali zbici potężnie przez Rosjan gdzieś w okolicach Czartoryska, gdzie front ich został przełamany.

20 października, rok 1915, środa
Niefortunny dziś dla mnie dzień w stosunku do moich projektów urlopu, które się już tak pięknie układały. Nie o sam ten urlop mi tylko chodzi, jeno o umożliwienie mi przez to kuracji, bo prawdziwie jestem chory; bynajmniej nie o bagatelę tu chodzi. Żeby to tak w życiu cywilnym ktoś zachorował na skórę i miał rany, jak ja mam na nogach, to już by wielki był rwetes leczenia.
Noc cała była niespokojna. Już wiadomo było, że sytuacja na linii bardzo się pogorszyła, że Niemcy dostali porządnie w skórę gdzieś pod Czartoryskiem i że nastąpił jakiś znaczny odwrót. Trojanówka była cała pełna trenów, które się ze wszech stron cofały wstecz. W nocy legioniści, którzy w tych dniach nie mieli żadnej służby, prócz tylko warty kwaterunkowej, byli na placówkach. Już z wieczora w gawędach żołnierzy wspominano możliwość wymarszu dzisiaj; albo wymarszu wstecz, to znaczy odwrotu, albo też wymarszu na linię. Żołnierze mają węch i wprawę w rozpoznawaniu sytuacji i umieją z oznak zewnętrznych wyczuwać wypadki oraz wnioskować o swoim własnym przeznaczeniu. Im się z góry nie oznajmia, dokąd i po co pójdą, ale to już zazwyczaj samo oni zgadywać umieją. Otóż dziś rano przyszedł na kwaterę naszą Kosa (była godzina piąta), oznajmiając pobudkę i zapowiadając wymarsz na godz. szóstą. Zwracając się zaś do mnie, dodał: „Chorzy pozostają”. Rzeczy moje na wszelki wypadek ułożyłem i gdy była zbiórka, poszedłem bez rynsztunku przed kwaterę komendy kompanii. Dąb wskazał mi kwaterę kompanijną, mówiąc, że chorzy tu się powinni zebrać i pozostać. Z I sekcji dano mi pod opiekę rynsztunek kaprala Bohuna, który wyjechał na parę dni do Kowla w sprawie przeniesienia się do artylerii, o co się stara. Złożyłem więc jego rynsztunek w domu kompanijnym, sam zaś pobiegłem natychmiast do sztabu Brygady dowiedzieć się, czy sztab wyrusza i w szczególności czy wyrusza dr Rouppert. Okazało się, że tak. Jest to wymarsz na linię całej naszej grupy, to znaczy tak I, jak III pułku naszej Brygady, a zapewne i pułku VI. Postarałem się o zobaczenie z dr Rouppertem. Chciałem się z nim ułożyć, jak będzie dalej ze sprawą starań o mój urlop. Ale dr Rouppert nie miał dużo czasu, bo się w drogę wybierał, więc tylko przelotnie się z nim widziałem. Zdziwił się, że pozostałem i tylko to powiedział, że w tej chwili sam nic zadecydować ani zrobić nie może. Oczywiście, bo dopiero po przyjeździe Sosnkowskiego mógłby się on postarać tę rzecz dla mnie wyrobić. Tak więc piękna perspektywa, która mi wczoraj zabłysła, nagle się jakoś rozproszyła i stała niewyraźną. Gdyby wypoczynek trwał dalej i gdybyśmy siedzieli na miejscu, to by się rzecz jakoś ułożyła, prawdopodobnie dobrze. A teraz nie wiadomo, co

z tego będzie. Sosnkowski ma podobno przyjechać, może nawet jutro, ale czy w obecnym ruchu Rouppert nie zapomni z nim o tym pomówić, a jeżeli nie zapomni, to gdzie mnie o tym zawiadomi, nie wiedząc, gdzie jestem, skoro na linię z batalionem nie wyruszyłem. Pobiegłem zaraz po mój rynsztunek, aby pośpieszyć na rynek przed kwaterę lekarza pułkowego Jakowickiego, dokąd wezwano wszystkich chorych i w ogóle tych, co nie wymaszerowali. Tymczasem już szeregi nasze wymaszerowały z Trojanówki. Na rynku zebrały się już grupy chorych i maruderów. Jakowicki na koniu, gdy mnie ujrzał, przywitał się i oświadczył, że niepotrzebnie zostałem, bo na liście chorych nie figuruję i że nie powinienem był tego robić. Jakowicki odjechał. Ja pozostałem w nieświadomości, co ze sobą robić i gdzie się podziać. Sanitariusz Komocki poradził mi zwrócić się do komendy placu, co też zrobiłem. Komendantem placu pozostał tu podporucznik Świątecki[19] i do niego się też zgłosiłem. Opowiedziałem mu, co ze mną zaszło. Zatrzymał mnie w komendzie placu. Tymczasem chorzy i maruderzy, którzy pod pretekstem choroby pozostali, choć na liście chorych nie byli, odjechali furami w kierunku Kowla. Rad jestem, że z nimi nie odjechałem. Tu będę bliżej batalionu i bliżej Rouppert. Być może, że przejeżdżać będzie tędy jutro Sosnkowski, z którym ewentualnie sam bym pomówił. Wreszcie ewentualnie stąd wrócę na linię do mego plutonu, bo choć jestem chory i choć mi będzie bardzo trudno być w linii, bo każdy ruch sprawia ból w nogach i rozdziera mi rany, a o opatrunki regularne na linii trudno, ale przynajmniej tam mogę się łatwiej doczekać, aż Rouppert załatwi moją sprawę i aż ewentualnie urlop mi udzielony zostanie. Pomimo więc cierpienia, myślę rzeczywiście podążyć do plutonu na linię; będzie tylko o to chodziło, aby Rupperta zdołać w jakiś sposób zawiadomić, iż jestem nadal w szeregu. Tak mi się jakoś wszystko źle poszykowało w chwili, gdym się już sądził tak bliski spełnienia mojej sprawy. I czy Sosnkowski tylko przyjedzie teraz do nas, gdyśmy na linię poszli? Oto kwestia. W Trojanówce w komendzie placu nudno mi było piekielnie. Jestem w przykrej, upokarzającej roli marudera. Nogi mnie bolą. Tęsknię też do mego plutonu.

21 października, rok 1915, czwartek
Piekielnie nudno w komendzie stacji w Trojanówce. Sosnkowski, którego przejazdu ewentualnie na dziś się spodziewał podporucznik Świątecki, nie przyjeżdżał. Gdyby był, prawdopodobnie bym sam mu wspomniał o sprawie mojego urlopu i uprzedził, że Rouppert ma z nim w tej kwestii mówić. Przynajmniej może by Sosnkowski przypomniał o tym Rouppertowi, widząc się z nim, bo się boję, że Rouppert na linii, zajęty sprawami ogólniejszymi, które się tam gorączkowo wśród krwawych walk odbywają, zapomnieć może o moim szczególnym przypadku. Ale może to i lepiej, że Sosnkowskiego nie widziałem i nic z nim o urlopie moim nie rozmawiałem. Rouppert będzie wiedział lepiej, jak się do tego zabrać, a ja, zaczynając z Sosnkowskim pierwszy, mogę jeszcze zepsuć cały interes, a i Rouppert może być nierad, że się sam do tego mieszam; poza tym, na Sosnkowskiego mogłoby sprawić złe wrażenie to, że mnie widzi tu w Trojanówce, nie na linii, a więc coś jako „marudera". Rouppertowi zaś, jak tylko się na linię dostanę, przypomnę się. Byle tylko Sosnkowski nie przyjechał tam jakąś inną drogą, omijając Trojanówkę. Sosnkowski jest teraz przy grupie Piłsudskiego i miał stamtąd do naszej grupy dojechać. Oczywiście, że byłoby mi nie na rękę, gdyby wpadł na krótko teraz i właściwie w chwili, gdy Rouppert może sobie myśleć, że ja już zwiałem i gdzieś na tyłach maruduję, co może odebrać mu chęć do starań o urlop dla mnie. Postanowiłem pośpieszyć z powrotem na linię. Chciałem ewentualnie już dziś wyruszyć, ale to się nie dało zrobić. Mam zamiar dołączyć się do trenu, który wiezie

[19] Świątecki – bliższych danych brak.

fasunek codzienny do batalionu naszego i z nim dojechać. Z fasunkiem jeździ zwykle sierżant tzw. Wujek[20], popularny w batalionie pod tą nazwą, stary, znany wszystkim i znający nas wszystkich. Z nim chciałem się wybrać. Chodziłem kilkakrotnie do prowiantury naszej, ale Wujek jak rano o godz. 6 wyjechał, tak do wieczora przez cały dzień nie wrócił jeszcze. Tu w Trojanówce stoi obecnie cała prowiantura nasza z taborami swymi, a więc główna prowiantura Brygady, ze swą kancelarią i z szefem Litwinowiczem, prowiantura pułku I i III naszej Brygady, no i oczywiście prowiantura baonu naszego. Kilkakrotnie odwiedzałem wczoraj i dziś te rozmaite prowiantury nasze; posyłał mnie podporucznik Świątecki dla dowiedzenia się dokładnego o miejscu ich postoju w wiosce, chodziłem tam po fasunek, po obiad, wreszcie w sprawie mojego wymarszu czy wyjazdu jutro. Przyjrzałem się życiu taborytów naszych i ich kancelarii. Stanowiska sierżantów i pracowników kancelaryjnych zajmują w prowianturze i taborach często ludzie inteligentni; mają oni na kwaterach swoich dużo wygody, umieją sobie życie urządzać, nie tak, jak na kwaterach u naszych biednych piechurów liniowych, nawet w czasie wypoczynku, a cóż dopiero w krótkich dniach rezerwy albo noclegu w chatach; u nas najwyżej, jako rzecz zbytku i zabawy, są karty, a jako strawa, którą sobie gotują, prawie wyłącznie ziemniaki. U taborytów zaś gramofony, szachy, są też gazety świeże, świeższe od naszych; papierosów u nich w bród, całe pudełka, kawa, herbata – także; co zostaje ponad normę fasunku, to tonie w taboryckich kwaterach. Gotują też sobie na kwaterach obiady sute z fasowanego mięsa, smaczne z przyprawami, których my nie wąchamy. Niższa kategoria taboryckich szeregowców rekrutuje się specjalnie z hultajskiego elementu, który się wyleguje na posłaniach, klnie, używa ciepła i wygody. Główna fatyga taborytów prowiantowych – to dowożenie furami fasunków codziennych na linię. To ich cygańska włóczęga po złych nieraz drogach na wielkie czasem odległości, no i oczywiście z narażeniem się czasem na niebezpieczeństwo zabłądzenia i napadu nieprzyjacielskiego. Ale to minimum męki i niebezpieczeństwa wobec pracy piechoty liniowej. Komicznie też wyglądały fabrykacje przez taborytów bransoletek pamiątkowych z miedzianych obwódek od szrapneli z datą „2 października 1915 – sobota" – datą ataku rosyjskiego w nocy pod Kostiuchnówką, kiedy to i taboryci znaleźli się nagle w sferze ognia i nawet stracili zabitego, zanim zwiać zdążyli. Dla taborytów było to wydarzenie niepospolite, które dla piechoty liniowej jest chlebem powszednim.
Wieczorem miałem gorączkę – może to od nóg moich chorych, które trzeci dzień bez opatrunku.

22 października, rok 1915, piątek
Wczoraj zdecydowałem się ostatecznie na opuszczenie Trojanówki i dogonienie mojego pułku. Jedno z dwojga: albo jestem chory i mam być formalnie za takiego uznany, przeto leczony regularnie czy gdzieś na „hinterland" odesłany, ale oczywiście akuratnie, formalnie, przez lekarza, albo też za chorego uznany nie jestem, a w takim razie moje miejsce w szeregu na linii: być maruderem – to się po mnie nie pokaże. Z chwilą, gdy pozawczoraj po wymarszu naszych Legionów, gdym pozostał w Trojanówce, dr Jakowicki powiedział mi, że nie jestem wpisany do listy chorych i że niepotrzebnie pozostałem, nie wyruszyłem z Trojanówki na Kowel z partią chorych i maruderów, bo bym oczywiście do kategorii tych ostatnich należał. A być maruderem – to wstyd. Maruder – to specjalny typ żołnierza, przeważnie nie tyle chory albo zbiedzony, ile tchórzliwy, wykręcający się, mający w sobie coś łajdackiego. Im większe niebezpieczeństwo na linii, im gorętszy ogień, im cięższe trudy i znoje braci

[20] Być może Juliusz Bagniewski, pseud. Wujek, Ulatowski (1876-1915), członek Związku Strzeleckiego, ppor. I Brygady, poległ w 1915 r.

żołnierskiej, tym większa jest liczba maruderów: są wśród nich rzeczywiście chorzy, są rzeczywiście potrzebujący pomocy, niezdolni do udziału w linii, którzy często muszą w ten sposób sami sobie radzić, bo nieraz lekarz wojskowy albo przez niedbalstwo, albo przez obarczenie inną pracą, albo też przez nadmierną podejrzliwość nie uznaje ich choroby i zmusza ich do służby, której pełnić nie są po prostu w stanie (lekarz na wojnie musi mieć żelazne serce i być ostrożnym w szafowaniu litości, bo zbyt dużo by się znalazło amatorów do nadużywania takowej), ale bądź co bądź większość maruderów składa się z lichego elementu, toteż być w liczbie maruderów – to zawsze wstyd. Przeciętny maruder to hultaj. Postanowiłem więc ruszać na dopędzenie pułku. Akurat wczoraj zgłosiło się do komendy placu w Trojanówce, przy której siedziałem tymczasem, trzech legionistów z IV kompanii naszego baonu, którzy byli na kilkudniowym urlopie w Kowlu i teraz po powrocie nie zastali już swoich. Byli to niejacy: Tyrankiewicz[21], Mazurkiewicz[22] i Stanisławski[23], wszyscy trzej starzy żołnierze. Oni, tak samo, jak ja, śpieszyli do pułku. Mieliśmy więc wybrać się razem. Wstaliśmy wcześnie i poszliśmy do prowiantury I batalionu, aby się wybrać razem z wozami wiozącymi fasunek dla baonu na linię. Sierżanta Wujka zastaliśmy. Dziś nie idzie z fasunkiem. Dopiero w nocy nad ranem wrócił z linii z wczorajszego dowozu. Na powitanie zakomunikował mi hiobową wieść: I baon I pułku, to znaczy nasz, zdobył wczoraj rano dwie wsie atakiem na Moskali; bił się walecznie, spisał się ślicznie, budząc podziw i uznanie Prusaków, którzy poprzednio właśnie byli pobici i wyparci stamtąd przez Moskali; ze strony Moskali było tam wojsko wyborowe – „żelazna dywizja", która nigdy porażki nie doznała, jak określali jeńcy moskiewscy; prócz wsi zdobył kilka karabinów maszynowych, wziął kilkuset jeńców; ale krwawe poniósł przy tym straty; ma kilkudziesięciu rannych, kilku zabitych, szczególnie zaś ciężkie straty poniosła nasza I kompania; zabity Kosa, podoficer zafrontowy naszego plutonu! Jak gromem mnie to uderzyło: Kosa zabity! Kosa, który mi dopiero przed kilku dniami mówił, że się stara o urlop dla zdawania egzaminów w Dębicy i tak się na ten urlop cieszył! Stary żołnierz, który od początku wojny był w szeregach piłsudczyków. Raz był ranny pod Tarnowem, poza tym zdrów był i ani mu się śniło o tak tragicznym końcu na bagnach i w lasach Polesia. Przypominam sobie, jakem go ostro sądził przed kilku dniami, charakteryzując go na kartach mego dziennika i wyrzut mam z tego powodu wobec tragicznej śmierci jego. W obliczu ludzi, którzy poszli na mękę krwawą wojny nie dla czego innego przecie, jak dla idei i wiary i którzy żyją ze swymi wadami i zaletami w ciągłym pogotowiu ofiary śmiertelnej, grzechem jest sądzić małostkową miarą ich powszednich cnót i przywar, bo w każdym z nich, choćby był słabego charakteru i woli, jak Kosa, i choćby z tego płynęły inne jakieś usterki, tkwi bohater, jak oto wyrósł on w Kosie w tragicznej jego śmierci pod Jabłonką na Polesiu. Kto więcej zabity lub ranny z plutonu naszego – nie wiem; słyszałem tylko, że ranni są nasz kapral sekcyjny Guc i jeden z rekrutów lubelskich Bieniak[24]. Tęskno mi już było w Trojanówce do plutonu naszego, do którego się przywiązałem bardziej, niż sam przypuszczałem, a teraz, gdym się o tych stratach dowiedział, to jeszcze mi się tęskniej zrobiło; razem też niepokój mnie ogarnął o los i życie tych, których szczególnie polubiłem, a zresztą o wszystkich, bo wszystkich z plutonu kocham i nie kłamię, mówiąc to. Jakiś instynkt samolubny oraz wdzięczny dla Boga, że mnie od tego ataku krwawego uchronił, mieszał się w sercu moim z gorzkim żalem, że nie dzieliłem z

---

[21] Tyrankiewicz, legionista 4 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.
[22] Mazurkiewicz, legionista 4 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.
[23] Stanisławski, legionista 4 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.
[24] Wacław Bieniak, legionista 2 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady, ranny 22. X. 1915 r. pod Kuklami.

plutonem tej męki i czynu gorącego, że nie byłem tam ze swoimi ramię przy ramieniu, po bratersku, jak towarzysz. O marszu moim dzisiejszym napiszę jutro.

23 października, rok 1915, sobota
Dzień dzisiejszy byłby ważniejszy od wczorajszego, który wobec dzisiejszego nie ma wartości, ale jednak dla ciągłości w dzienniku wpierw jeszcze wczorajszy zanotuję. Wymaszerowaliśmy więc z Trojanówki we czworo, jakem pisał – ja i trzech z IV kompanii. Mieliśmy niby odbywać drogę z trenem, wiozącym na linię fasunek dla I baonu. Spodziewałem się, że będę mógł jechać na furze, bo nawet nie byłem pewny, czy zdołam tyle przejść pieszo. Jednak o jeździe nie było mowy. Fury były dość obficie naładowane i na każdej siedziało poza tym po paru taborytów, którzy bynajmniej nie byli skorzy do zaproszenia lub ustępowania nam miejsca, a każdy też z nich stara się oszczędzić swoje szkapy, dla których drogi tutejsze są istotnie męczące. A nikt z taborytów, oszczędzając swojej szkapy, nie pomyśli o fatydze piechura i nie ustąpi mu ze swej wygody, choćby tylko w podziale siedzenia ze sobą po pół drogi na przemian. Próżne żale! Tylko plecak i chlebak złożyć mi dano na jednej z fur, mianowicie na wozie prowiantowym karabinów maszynowych naszego pułku. Wymaszerowaliśmy za trenem w kierunku południowym – kierunku na Czartorysk, gdzie właśnie Niemcy dostali przed kilku dniami lanie, wskutek którego nastąpił odwrót i odwołanie naszej grupy Legionów z rezerwy na odsiecz. Wkrótce przekroczyliśmy tor kolejowy, już naprawiony i zwężony i jakież było nasze zdziwienie i radość, gdyśmy za nami usłyszeli gwizd lokomotywy i ujrzeli kłęby pary z idącego pociągu. Widok i głos pociągu łechtały nasze zmysły i sprawiały radość, odczuwaną wprost fizycznie. To cywilizacja, kultura, wielki świat ducha ludzkiego – zjawiska, od których człowiek tak się oddala na wojnie, że potem tęskni do nich jak do kochanki. Nie mieliśmy przecież tym pociągiem jechać, nie był on dla nas użyteczny bezpośrednio, a jednak weselił nas sam przez się jako taki. Wszakże i pożytek z niego na wojnie będzie: ułatwi dowóz wszelki, doda siły oporu wojsku, wpłynie na bieg walk tutejszych, a dla ludności miejscowej stanie się błogosławieństwem, uwalniając ją choć w części od przemarszów taborów i z czasem dowożąc artykuły niezbędne. Kolej przechodzi więc już obecnie przez Stochód i dochodzi do Maniewicz, ostatniej stacji kolejowej, zdobytej od Moskali, bo następna Rafałówka jest za Styrem i jeszcze w rosyjskim ręku. Wkrótce doszliśmy do wioski Czerewachy, pełnej wojska, a przeważnie taborów, jak wszystkie wioski dokoła. Wsie te wyglądają dziko – wszystko rozbite i opuszczone, tylko chałupy służą za schronienie dla żołnierzy, gospodarujących bez zastrzeżeń i naturalnie po wandalsku, bo inaczej być nie może w tym rozgardiaszu i ciągłych przemarszach. Wszystko pobite, połamane, płoty się drą na opał, dobytku nie ma żadnego. Z rzadka się ujrzy figurę chłopa lub chłopki, autochtonów wsi, przesuwających się jak cienie, w milczeniu i z osłupiałym spojrzeniem. Nie ma tu już u ludności miejscowej rozpaczy, jest tylko osłupienie. Tak jest we wszystkich wsiach najbliższych frontu, zwłaszcza tu, gdzie linia jego jest nieustalona, z tygodnia na tydzień zmienna, często przechodząca z rąk do rąk, a już od miesiąca trapiąca tę część kraju. Najbliższa okolica lewego brzegu Styru jest tylko ruiną. Codziennie prawie w poszczególnych wsiach wybuchają pożary, wywołane przez nieostrożność żołnierzy, a nawet bez ich winy, bo od samych kominów nieczyszczonych musi się wreszcie zapalić. Z Czerewachy ruszyliśmy dalej. W lesie tren nasz pojechał sobie kłusem, myśmy zaś pozostali i już zgubili go odtąd, a z nim i rzeczy nasze. W ten sposób zgubiłem mój plecak i chlebak wraz ze wszystkim, co w nich było, to znaczy z całym moim dobytkiem na wojnie, prócz dzienników, które noszę w kieszeni w płaszczu. Został mi tylko, prócz odzienia, które mam na sobie – karabin, bagnet, ładownice i łopatka. Błądząc trochę po lesie, wyszliśmy na jakąś wieś,

która się okazała, jakeśmy się dowiedzieli od maruderów III pułku, w niej bawiących, Jabłonką Borową, zdobytą przed paru dniami przez V czy VI baon. Zawróciliśmy stamtąd na miasteczko Okońsk, gdzieśmy się spodziewali tren nasz zastać na postoju obiadowym. Cała droga do Okońska usiana okopami licznymi i gęstymi, a w rozmaitych kierunkach i kształtach kopanymi. Znać tu walkę o każdą piędź ziemi, ruch ataków, postępujących z ciągłym okopywaniem się co kilka kroków. W Okońsku zastaliśmy tylko tabory VI pułku Legionów, trochę taborów niemieckich i kolumnę amunicyjną naszej artylerii, u której dostaliśmy obiad. Smacznie jedzą tabory, lepiej od nas. W Okońsku widziałem przy cerkwi grób Majewskiego[25] z III plutonu naszej kompanii, zmarłego z ran otrzymanych podczas naszego ataku na Jabłonkę. Z Okońska drogą pobojowiska doszliśmy do Jabłonki, krwawo przez naszą kompanię zdobytej wigilią. Przeszedłem około 30 kilometrów – nogi wytrzymały. Z Jabłonki dziś rano wymaszerowaliśmy.

24 października, rok 1915, niedziela
Piszę z opóźnieniem: dziś o wczorajszym dniu. Wyszliśmy więc wczoraj rano – ja i trzech moich współtowarzyszy podróży z IV kompanii – z Jabłonki na miejsce przeznaczenia do wioski Kukle, gdzie stał nasz pułk. Już pozawczoraj wieczór, gdyśmy podchodzili do Jabłonki i przez całą noc słychać było od strony Kuklów gorący ogień karabinowy i armatni. Teraz też, gdyśmy szli w tym kierunku wzdłuż linii telefonu polowego, przez łąki i las, ogień rósł stale, zwłaszcza armatni. Wiedzieliśmy, że nasz pułk stoi w samych Kuklach w rezerwie. W lesie pod Kuklami spotykaliśmy coraz gęściej oddziały kawalerii i innych rodzajów broni. Im bliżej Kuklów, tym jaskrawsze ślady świeżego pobojowiska: nie uprzątnięte są jeszcze porozrzucane części rynsztunków, karabiny, odłamki rozmaite, leżą jeszcze szpetnie pokaleczone trupy ludzkie, to znów koń padły. Kukle zostały wigilią zdobyte po całym szeregu ataków naszych i kontrataków rosyjskich. W atakach na Kukle i poprzednio Jabłonkę Legiony nasze, a zwłaszcza I Brygada, zdobyły nowy świetny laur; szczególnie atak naszego pułku na Jabłonkę wywołał uznanie i pochwałę Prusaków. W ataku na Kukle nasz pułk (przynajmniej baon) udziału nie brał. Wychodzimy wreszcie z lasu: przed nami Kukle, wieś wielka, ale spalona przez całą swą długość: tylko gdzieniegdzie małe grupki pozostałych domów, jakby oazy wsi na pogorzelisku; dokoła od lasu bagna, przez które przepływa grząska rzeczka, rozgałęziona na kilka bagnistych łożysk; chcemy iść drogą w kierunku na wieś, ale widzimy granaty rosyjskie i szrapnele, gęsto walące prosto na drogę, którą w popłochu i szalonym pośpiechu, przeganiając się wzajemnie, pędzą fury naszego taboru bojowego, kuchnie itd. Artyleria rosyjska strzela celnie i rzęsiście, granaty padają jak deszcz, jeno dużo z nich nie wybucha. Oczywiście, obserwator rosyjski siedzi gdzieś tak, że ma pole obstrzału jak na dłoni. Miejsce, do którego my musimy dojść, het daleko, na przeciwległym końcu wsi, na jej lewym skrzydle; tam dostrzegamy cerkiew, a wiemy, że nasz baon siedzi gdzieś w rezerwie przy grupie domów w okolicy cerkwi. Zawracamy z drogi na skraj lasu, aby się ukryć od artyleryjskiego obserwatora rosyjskiego i od granatów; idziemy skrajem lasu, atoli natrafiamy na przeszkodę z bagien i rzeczki; musimy wychodzić na otwarte pole ku wsi, by znaleźć przeprawę; granaty padają za drogę, bliżej ku nam; niektóre wybuchają w pobliżu podnosząc czarne słupy dymu i ziemi. Znajdujemy kładki, przechodzimy za bagna, znów na skraj lasu, wreszcie zbliżamy się do grupy domów pod cerkwią. Tu już nie ma granatów i szrapneli, ale ogień karabinowy gra, a pojedyncze kulki syczą czasami po bokach. Natrafiamy na IV kompanię, która się okopuje na tyłach grupy

---

[25] Mieczysław Majewski, legionista 3 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady, poległ 22. X. 1915 r.

domów; moi towarzysze podróży – Tyrankiewicz, Mazurkiewicz i Stanisławski – znaleźli już swoich i pozostają. Ja idę dalej, mijam okopy III kompanii, a oto już w dziedzińcach śród zabudowań gospodarskich grupy domów widzę krzątającego się przy budowie okopów Tobjasza, a więc już jestem wśród swoich w I kompanii. Pierwsza wieść, o której się dowiaduję jest ta, że nasz II pluton jest w ataku pod Jabłonką rozbity, wobec czego resztki jego są rozdzielone i włączone do plutonu I i III; zresztą pluton III został obecnie plutonem II, a Radomiacki IV-ty - III-cim. Podchodzę do naszych okopów; następują przywitania serdeczne i radosne; na wieść o rozbiciu naszego plutonu niepokój mnie ogarnął o poszczególnych towarzyszy naszych: kto zginął, którzy są ranni i jak? Wojna i wspólne trudy, wspólna męka nawiązują serdeczną nić solidarności i współczucie między żołnierzami; można się w powszednim życiu sprzeczać, można jednych mniej, innych lepiej lubić, ale w chwili poniesionych strat i szczególnie po rozłące – los każdego towarzysza zarówno obchodzi i boli. Ale oto widzę ostrożnego, zgiętego w pół Tobjasza, widzę Gutowskiego, spostrzegam na dnie okopu Partykę i Garbienia[26], widzę pogodnego Papiza[27], dowcipnego łobuza Pachutę, wreszcie dzielnego Kruszynę[28], najstarszego z najstarszej wiary, którego żadna kula się nie ima, jedynego już u nas z tej kategorii wiary. Ci więc ocaleli. Ich widok sprawia mi radość.

25 października, rok 1915, poniedziałek
Dalej o dniu pozawczorajszym. Po przyjściu do okopów mojej kompanii i pierwszym przywitaniu z ocalałymi obywatelami naszego plutonu poszedłem natychmiast zameldować się Dębowi, który z kompanijnym sierżantem Szarskim i oficerami plutonowymi siedział w osobnym kwadratowym zadekowanym okopie. Poszedłem zameldować przyjście moje i otrzymać rozkaz przydzielenia mnie do I czy II plutonu. Dąb był dziś serdeczny, miększy i rzewniejszy jakoś, niż zwykle. Żartował ze mną, rozmawiał, rozpytywał; w toku gawędki wyraził mi żartobliwie ubolewanie z powodu, że opuściłem taką piękną rzecz, jak atak; powiedział, że to trzeba mieć pecha, żeby stracić taką okazję. Piękna mi okazja! Ale dla miłośników wojny, jakim jest Dąb, atak, bez względu na straty, jest sam w sobie aktem piękna i sztuki. Po raz pierwszy Dąb był taki miły, choć w ogóle, w miarę jak go poznaję, dostrzegam w nim coraz więcej cech uczucia i w szczególności ciepła dla swych żołnierzy, maskowaną tylko tą jego manierą sarkazmu i jakby bawienia się wojną. Spostrzegam, że zaczynam do Dęba mieć sympatię i przywiązywać się do niego uczuciem starej wiary do swojego wodza. Dąb mnie przydzielił do plutonu byłego III, obecnie II – podporucznika Wiatra. Wiatr, gdym się doń zgłosił, przydzielił mnie do I sekcji kaprala obywatela Balbina[29], którego przezywają Wujkiem; jest to człowiek w średnim wieku, który przyjechał do Legionów z Ameryki, człowiek ideowy i poważny. W sekcji tej znalazłem się razem z następującymi towarzyszami mymi z naszego dawnego plutonu: Tobjaszem, Garbieniem i Partyką, którzy mnie zaraz zaprosili do okopu do siebie. Rozbitki z naszego dawnego plutonu zostali w ten sposób podzieleni, że do plutonu I włączono wszystkich naszych młodych Lubliniaków, podczas gdy do plutonu III, czyli obecnego II, włączono wszystkich starych żołnierzy naszych. Zainteresowałem się zaraz, co się stało z moim przyjacielem Grzmotem; dowiedziałem się, że jest zdrów i należy do I plutonu; jesteśmy więc z nim obecnie rozdzieleni – należymy do różnych plutonów. Z Lubliniaków naszych, prócz Bieniaka, nikt nie został ranny pod Jabłonką. Poszedłem

[26] Józef Garbień, legionista 2 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.
[27] Antoni Papiz, kapral 2 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.
[28] Franciszek Kruszyna, legionista 2 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.
[29] Marian Balbin pseud. Wujek, legionista 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.

zaraz odwiedzić Grzmota w okopach I plutonu, zbudowanych przed okopami II. Grzmot aż się rzucił, gdy usłyszał mój głos; posiedziałem z nim i porozmawiałem. Grzmot jest przygnębiony, oszołomiony tą dziką walką, która się tu toczy, zdegustowany wojną i jej strasznymi epizodami, ale hartowny to chłopiec, który zęby zatnie i ani odrobinę nie zejdzie z drogi akuratnej i starannego wypełnienia obowiązku; taki nie zmaruduje, nie będzie się wykręcać, nie zbłaźni się nigdy; na zewnątrz zachowa z dumą swój hart niewzruszony i pójdzie w ogień jak rycerz na krwawe dzieło, choćby się w nim piekło niesmaku i dramat męki odbywał; pójdzie prosto, jak strzała – na śmierć czy życie, na los swój. Grzmot uważał, że źle zrobiłem, iż nie pojechałem z chorymi i maruderami z Trojanówki na Kowel i wróciłem na linię, bo przypuszczał, że już gdy wróciłem, trudno mi się teraz będzie z linii wyrwać, choćbym istotnie był chory, gdyż na linii tylko ranni wzgląd mają, chorymi zaś nie ma czasu się zajmować i nikt się z nimi nie liczy (przewidywania Grzmota nie sprawdziły się, bo jeszcze tegoż dnia musiałem opuścić linię, wysłany przez doktora do szpitala na tyły). W okopach wśród swoich czułem się dobrze i swojsko, jak w środowisku rodzinnym. Nigdy rzeczywiście nie przypuszczałem, żeby w tym stopniu środowisko towarzyszy broni na wojnie mogło się stać bliskim i serdecznie ukochanym. Z towarzyszami mymi, a przynajmniej ich większością i ogółem nawet, dzieli mnie wszystko na zewnątrz: pochodzenie, wychowanie, wykształcenie, stanowisko społeczne, nawet świat przekonań i ideałów, a jednak wspólność znojów wojennych, przygód i krwawych niebezpieczeństw, wspólność wojaczki zbliża i wiąże nas, pomimo różnicy charakterów, w jedną rodzinę. Szczególnie się to wyczuwa w takich chwilach, jak obecna, kiedy się wraca do plutonu po kilku dniach rozstania, podczas których odbyła się krwawa rozprawa ze stratą całego szeregu ludzi. Oczywiście, że pierwszą rzeczą było poinformowanie się o szczegółach walki pod Jabłonką i o stratach w plutonie. Było to tak. 20 X po wyjściu z Trojanówki, kompania nasza przyszła na noc do Okońska i zakwaterowała we wsi; w nocy o godz. 1 zawołano na alarm, wyprowadzono kompanię w kierunku Jabłonki i niedaleko wsi zatrzymano i kazano się okopać; kompania miała atakować i zdobywać wieś. Do rana siedziano w okopach; gdy zaczęło się rozwidniać, spostrzeżono w pobliżu okopy rosyjskie, zupełnie bliziutko; rzuciła się kompania do ataku, zdobyła pierwszą linię okopów, przebiegła wieś wśród ognia, zdobyła za wsią drugą linię okopów; wśród tego zdobyto trzy karabiny maszynowe, przeszło 300 jeńców, w tej liczbie trzech oficerów. Atak był wykonany świetnie.

26 października, rok 1915, wtorek

Atak 21 X na Jabłonkę, wykonany świetnie i uwieńczony zupełnym powodzeniem, nie kosztowałby właściwie sam przez się większych strat: jeden ranny w IV plutonie, jeden zmarły z ran w III plutonie, jeden czy dwóch rannych w plutonach I i III, tyleż mniej więcej strat w II kompanii, która atakowała wraz z naszą – oto byłby bilans strat ataku. Nieproporcjonalnie ciężkie straty naszego II plutonu wypływają stąd, że po zdobyciu drugiej linii okopów rosyjskich nasz podporucznik Stawiński zapędził się z plutonem zbyt daleko naprzód za uciekającymi Moskalami, o jakiś kilometr czy półtora za zdobyte okopy, podczas gdy reszta kompanii pozostała w okopach. Dopiero tam obejrzał się Stawiński, że pluton nasz jest osamotniony i goni przed sobą całe co najmniej dwie kompanie rosyjskie, które też się spostrzegły, że goni ich zaledwie garstka naszych. Tu role się odwróciły: nasi zawrócili w tył i biegiem cofali się do swoich, podczas gdy Moskale gonili ich i ostrzeliwali gęsto. W tym to czasie większość naszych została raniona. A teraz takie są oto straty naszego byłego plutonu. Większość – lekkie rany, w nogę lub rękę. Kosa zabity został dwoma strzałami, w pierś i w bok, w chwili, gdy dobiegał do drugiej linii okopów rosyjskich. Moskale strzelali do ostatka, o

parę kroków i za to niektórzy z nich zostali pokłuci bagnetami w okopach przez naszych. Kosę pochowano później w dzień w Jabłonce w okopie rosyjskim; wyglądał podobno strasznie; nędzny ma grób. Druga większa strata – to Mich z III sekcji; był to stary żołnierz z grupy Borysławiaków, jeżeli się nie mylę, ale Lwowianin rodem, rzemieślnik z zawodu, chłopak młody, lat 20 czy 21. Co się z nim stało – dobrze nie wiadomo. Mich[30] został raniony w pierś i upadł; Guc robił mu opatrunek rany, gdy wtem sam został raniony w nogę; ponieważ nasi w tym czasie, po zapędzeniu się za daleko naprzód, cofali się właśnie, ścigani przez Moskali w liczbie jakichś dwóch kompanii, Guc musiał pomyśleć przede wszystkim o własnej ucieczce, tym bardziej, że rana w nogę utrudniała mu takową; porzucił więc rannego Micha i pogonił za plutonem. Micha już później nie znaleziono; czy umarł z rany i został przez Moskali pochowany, czy też był przez nich dobity, czy może do niewoli ranny wzięty. Poza zabitym Kosą i zaginionym ciężko rannym Michem, ranni zostali jeszcze następujący żołnierze z naszego plutonu: kapral Guc, Bieniak, Knapczyk, Fijałkiewicz[31] młodszy (brat Marsa, pod przezwiskiem Ciotka), Maniecki[32], Lignar młodszy[33], który wrócił do plutonu ze szpitala w dniu wymarszu z Trojanówki i zaraz znów ranny został, wreszcie kontuzjowany podporucznik Stawiński-Kozicki. Wszyscy wyżej wymienieni są lekko ranni w kończyny; tylko jeden Maniecki jest ciężej ranny, choć też w ręce i nogi (ma trzy rany). Niektórzy ranni, jak Fijałkiewicz, cieszyli się serdecznie z ran swoich, które szczęściem nie były ciężkie, a zapewniały im wypoczynek w szpitalu, spokój, ciepło i nadzieję może otrzymania urlopu do domu. Dla żołnierza zmęczonego wojną i niewygodami rana, przynajmniej lekka, jest czymś błogosławionym; niektórzy marzą o niej, śnią i z przykrością po przebudzeniu stwierdzają, że to był tylko sen. Cały dzień soboty spędziłem z towarzyszami mymi w okopach; okopy były głębokie, z dekunkiem z desek, opartych na beczkach i przykrytych nasypem z ziemi. Dekunek był niezbędny ze względu na pociski artyleryjskie. Od południa Moskale zaczęli kierować ogień armatni – armaty i szrapnele – wprost na grupę domów pod cerkwią, wśród których były nasze okopy rezerwy. Walili bez przerwy, gęsto jak deszcz. Szczęściem, że z granatów wiele nie wybuchało wcale, a szrapnele przy dekunku nie są zbyt niebezpieczne. Ale siedzieliśmy pod ciągłym ogniem, wśród charakterystycznego wycia granatów, a nie ustawał też syk kulek karabinowych. Żaden z granatów nie wyrżnął wprost w okopy nasze, ale dokoła i blisko padały. Rosjanie mają tu znakomitą przewagę artylerii. Ogień armatni był tak gwałtowny, że jakiś czas myślano już o wyprowadzeniu nas z tych okopów i był nawet rozkaz wdziania rynsztunku, ale później zostawiono nas, bo niebezpiecznie było wychodzić na otwarte miejsce; Moskale z pewnością mieli dobry punkt obserwacyjny i, spostrzegłszy nas, nie omieszkaliby walić i z pewnością nie obeszłoby się bez strat, bo artyleria ich strzela celnie. Piekielny był to dzień. Siedzieliśmy głęboko na dnie okopów pod dekunkiem, ale choć zakazane było się kręcić po otwartym polu, wciąż ktoś się wychylał i kręcił, a szczególnie Austriacy, którzy w pobliżu kopali okopy i palili ogniska. Jeden też z naszej kompanii, mianowicie obywatel Jurek z I plutonu, stary żołnierz, chłopak młody i inteligentny, ulubieniec Dęba, raniony został kulką szrapnelową ciężko przez łopatkę w pierś czy płuca. Ranny też został major Fabrycy[34], dowodzący w miejscu Śmigłego naszym pułkiem. Wśród

---

[30] Józef Mich, legionista 2 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady, ranny 22 października 1915 r. pod Kuklami.
[31] Antoni Fiałkiewicz (Fijałkiewicz), legionista 2 plutony 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.
[32] Jan Maniecki, legionista 2 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.
[33] Władysław Lignar (młodszy), legionista 2 plutonu 1 kompanii I batalionu 1 pp. I Brygady.
[34] Kazimierz Fabrycy (1888-1958), inżynier, jeden z założycieli ZWC i Zw. Strzeleckiego, od 1914 r. w Legionach Polskich, w 1917 r. internowany w Beniaminowie. W Polsce niepodległej pełnił szereg funkcji

okopów naszych siedział też w głębokim dole z lepianką, zbudowaną mu przez Moskali, chłop miejscowy z rodziną i resztkami mienia.

27 października, rok 1915, środa
Po spędzeniu w sobotę dnia w okopach z kompanią moją poszedłem wieczorem się zgłosić do doktora Jakowickiego. Jestem prawdziwie chory, rany na nogach ani myślą mi się goić, na całej skórze po ciele całym świerzb piekący, przechodzący w wyrzuty, którymi coraz gęściej pokryty jestem. Mam chorobę skórną w ciężkiej formie, której zaniedbywać dłużej niepodobna. Rozwija się to i rozrasta z dnia na dzień z gorączkową szybkością. Z pewnością, że byłoby mi osobiście lepiej i dogodniej dla zdrowia i moralnego stanu oraz pożyteczniej dla sprawy ogólnej, abym dostał urlop i pojechał się leczyć na własną rękę do kraju, łącząc z leczeniem działalność polityczną. Ale musiałbym na to czekać w polu, wśród ognia i niewygód wojny i może długo, bo trudno w tych warunkach ciągłej walki zaprzątać taką sprawą Rouppert, a nawet w najlepszym razie trudno Roupperowi szybko tę rzecz załatwić. Tymczasem warunki na wojnie wpływają jak najgorzej na stan choroby i przyśpieszają przerażająco jej rozwój. Siedzenie w okopach dzień i noc na chłodzie, na mrozie nawet, brud i nierozbieranie się i niezmienianie bielizny, niemycie się itd. – to są fatalne czynniki w chorobie skórnej. Zresztą nie jestem już w tym stanie zdrowia zdatny do udziału w walce: nie mógłbym biec ani padać regularnie na ziemię, okopywać się itd.
Musiałem się więc zdecydować nie tylko na pójście do doktora, ale nawet na wyruszenie do szpitala, dokąd mnie doktor Jakowicki skierował. Doktor był uprzejmy dla mnie, był miły, ale nic innego w tych warunkach wykombinować nie umiał i nie mógł nawet, jak do szpitala mnie odesłać. Proponował wprawdzie, gdyby mi to więcej dogadzało, pozostanie na razie przy taborze, alem nie chciał tego, bo to bezcelowe ze stanowiska zdrowia i szans wystarania się o urlop, a jednocześnie upokarzające. Zdecydowałem się więc na jazdę do szpitala; tam sobie będę radzić, jak się da, i próbować starania o urlop. Musiałem wprost od doktora ruszać w drogę, bo właśnie odchodził transport kilku chorych i rannych, z którymi mnie doktor wysłał. Nie miałem nawet czasu wrócić do okopów pod cerkiew dla zameldowania w kompanii o moim odjeździe do szpitala i pożegnania moich towarzyszy, co mnie martwiło, bo kto wie, czy ujrzę ich jeszcze wszystkich i kto z nich zginąć może w tych krwawych walkach, które się tu teraz toczą. Wobec tych walk to nasze poprzednie ruchy od Kowla do Styru w zdobywaniu poszczególnych wiosek na Kozakach – zabawka dziecinna. Teraz dziennie po kilka i kilkanaście ataków i kontrataków, walki na bagnety, krwawa kanonada działowa. Moskale mają tu wyborowe wojsko, zgromadzili duże rezerwy, które nieustannie rzucają do boju, mają wreszcie przewagę w artylerii, podczas gdy artylerii niemieckiej i austriackiej prawie że nie ma tutaj z powodu trudności jej dowozu na terenie bagnistym. Kukle – to straszna karta w dziejach walk tej wojny; z tego, co było pod Kuklami przed ich zdobyciem i com później usłyszał o tych walkach za Kuklami w paru następnych dniach po moim odejściu – pozostaje obraz piekła dantejskiego, gdzie prócz ognia dział, karabinów maszynowych i ręcznych, człowiek godzinami walczy z człowiekiem oko w oko, twarz w twarz, bagnetem i kolbą. Moskale bronią zażarcie linii Styru i nie dopuszczają do przetworzenia tu walki w pozycyjną, jak by zapewne chcieli Niemcy i Austriacy w obecnej chwili, gdy główny punkt akcji skoncentrował się na Bałkanach. Polesie – to krwawa i niebezpieczna karta wojny, która oby się nie stała dla nas tym, czym były Karpaty dla Moskali. Prócz Legionów naszych, walczą tu Niemcy i Austriacy, wciąż przybywają posiłki, a wciąż straty

---

w wojsku, m.in. dowódca 4 pp., Dywizji Piechoty Legionów, gen. dywizji 1931 r. W czasie kampanii wrześniowej 1939 r. dowódca armii „Karpaty". Zmarł na emigracji.

olbrzymie i rezultat znikomy. W sobotę więc wieczorem wprost od dr Jakowickiego z Kukl wyruszyłem do Jabłonki, gdzie się mieści szpital polowy I Brygady. W Jabłonce zanocowałem i nazajutrz z transportem chorych i rannych wiezionych na furach, wymaszerowałem przez Okońsk do stacji Maniewicze. Stacja Maniewicze w linii prostej jest niedaleko od pola walki pod Kuklami. Słychać tu ciągłe bulgotanie karabinów maszynowych, zwiastunów ataków, oraz kanonadę. W Maniewiczach na stacji praca kipi i niezliczone treny zapełniają całą okolicę. Do wieczora zabawiliśmy na stacji, a wieczorem posadzono nas do pociągu i wywieziono. Ciężko ranni byli od razu w Maniewiczach oddzieleni od nas, od chorych i lekko rannych, prawie wyłącznie w rękę. W zimnym nieopalanym pociągu wleczono nas do Kowla. Pociąg więcej stał, niż szedł. Do Kowla dostaliśmy się w poniedziałek o świcie.

28 października, rok 1915, czwartek
Po przywiezieniu z Maniewicz do Kowla naszego transportu rannych i chorych umieszczono nas w jednej z sal dworca kolejowego, przeznaczonej na lokal sanitarny. Żołnierz chory lub ranny, wycofany na tyły, staje się zupełnym niewolnikiem urzędów sanitarnych. Nie należy to do rzeczy przyjemnych. Gdyby jeszcze legioniści byli wyodrębnieni i mieli całkowitą własną organizację sanitarną, to byłoby o wiele lżej; ale tu dopiero na tyłach ranny i chory legionista stapia się z żołnierzami austriacko-węgierskimi jako cząstka składowa tej armii; zatraca się wtedy ten szlachetny obywatelski pierwiastek rycerza, który w Legionach, a w szczególności w naszej I Brygadzie cechuje ducha w wojsku, i człowiek-szeregowiec, rycerz Sprawy, Legionista polski, spada do poziomu prostego żołnierza armii austriackiej. Jego godność obywatelska, godność świadomego żołnierza idei i wiary własnej ginie w pospolitym tłumie sołdackim. To jest nade wszystko przykre! Tu dopiero lada kapral austriacki, odznaczony paru gwiazdkami, a cóż dopiero trzygwiazdkowy „Zugsfürer”, gbur bez wykształcenia i wychowania, dla którego liczba gwiazdek na kołnierzu jest jedyną prawowitą miarą stopnia wartości i godności ludzkiej, służbista, przekonany o doskonałości ślepej dyscypliny i organizacji hierarchicznej, przejęty niewzruszonym poczuciem swojej bezwzględnej wyższości nad żołnierzem-szeregowcem, może rozkazywać tonem brutalnym, klepać protekcyjnie po ramieniu, mówić rycerzowi-legioniście na „ty”, słowem pomiatać nim dowolnie. Człowiek tu musi się stać gruboskórnym, zaciąć zęby, pamiętać, że poszedł na wojnę w tych, a nie innych, nie doskonałych, warunkach organizacji Legionów, i znosić ciężar, pomny że oficer wymaga nieraz z konieczności i takich rzeczy, które nie są wprost bezpośrednio z jej celem związane. Zresztą od człowieka samego, od jego taktu zależy, aby się przed takim kapralem nie zbłaznować i, zachowując powagę i zimną sztywną rezerwę, utrudnić albo uniemożliwić mu traktowanie lekceważące. Jakże inaczej jest u nas w Brygadzie! U nas kapral, podoficer zafrontowy, sierżant – jest równy każdemu obywatelowi-szeregowcowi. Tylko w linii lub w ogóle na służbie jest on funkcjonariuszem wyższym, uprawnionym do wydawania rozkazów, któremu się winno posłuszeństwo. Poza tym, w stosunkach pozasłużbowych jest on współobywatelem i współtowarzyszem; może on mieć pewien autorytet wobec np. rekrutów i młodych żołnierzy, który go i pozasłużbowo wyróżnia z ogółu, ale to jest tylko autorytet moralny, który jest właściwy tak jemu, jak w ogóle starym wiarusom lub ludziom starszego wieku, jak ja, wobec zielonej młodzieży świeżego żołnierza, jakimi są np. u nas Lubliniacy. I nie tylko szarże podoficerskie, ale i oficerowie są u nas w Brygadzie współobywatelami legionistów-szeregowców. Jedni w mniejszym, inni w większym stopniu zachowują praktykę obywatelską, ale na ogół duch obywatelski jest zasadą i metodą w stosunkach. Nie znaczy to, aby oficerowie się pospolitowali; są oni często z

daleka od masy legionistów, szczególnie spoza swej kompanii czy plutonu, ale o ile zachodzi w praktyce jakiś stosunek, o tyle jest on oparty na pozasłużbowych szrankach, na pierwiastku obywatelskim. I nie przeszkadza to bynajmniej temu, że rozkaz w stosunkach służbowych jest u nas spełniany święcie i *bona fide*; legioniści z I Brygady klną często, sarkają na wojnę i ciężką służbę, miewają nawet złe przeczucia o chybionym celu Legionów, skąd płynie pewne zniechęcenie, a jednak na rozkaz są czuli jak najdoskonalszy rycerz i niespełnienie rozkazu lub świadome złe jego spełnienie albo też jakiekolwiek zaniedbanie obowiązku jest uważane za wstyd, którym się nikt nie odważy splamić.
W Kowlu na dworcu kolejowym przesiedziałem cały poniedziałek. Było nas tam sporo chorych, lekko i ciężko rannych, tak legionistów, jak Austriaków, oraz lekko rannych jeńców rosyjskich. W Kowlu nas nie zostawiono, bo w szpitalach miejsca nie ma; miano wieźć dalej. Chodziłem do miasta; nie poznać Kowla przez te 1 ½ miesiąca: wszystko można dostać – bułki, mleka, cukru, gęsiny itd., choć drogo.

29 października, rok 1915, piątek
Cały więc poniedziałek spędziłem w Kowlu, raczej nie tyle w Kowlu, ile na dworcu kowelskim. Wieczorem cały ten transport rannych i chorych, do którego i ja należałem, wsadzono do pociągu, informując, że zostaną oni przewiezieni o 10 wiorst dalej i zalokowani w jakimś punkcie etapowym dla maruderów (po niemiecku maruderami czyli „marudami" nazywają wszystkich chorych żołnierzy, co mi się wcale nie podoba, bo w nazwie tej tkwi coś upokarzającego). W Kowlu w szpitalach nie ma miejsca, pociągów sanitarnych dochodzi nie tak dużo, aby wszystkie transporty rannych i chorych móc zabrać, a wobec toczących się gorących walk i ciągłych ataków i kontrataków spodziewane są nowe transporty z linii. Nie podobało mi się to. Jak długo nasz transport przesiedzi w tym punkcie etapowym pod Kowlem, jakie tam będę miał warunki zdrowotne i moralne pod wodzą kapralów austriackich, jakich się tam spotka austriackich lekarzy – nie wiadomo. Pragnąłem wyrwać się stąd do Lublina, gdzie jest szpital Legionów Polskich. Stamtąd miałbym bliżej do Warszawy, z którą bym się chciał skomunikować i łatwiej bym mógł rozpocząć starania o urlop, bo tam już mam ludzi znajomych. Nie wsiadłem więc z tym transportem do pociągu, jeno wróciłem z peronu na dworzec do poczekalni ogólnej i pozostałem. Słyszałem, że pociąg na Lublin ma odchodzić nazajutrz o godz. 7 z minutami rano. Nie byłem tylko pewny, czy uda mi się tak na własną rękę, bez urzędowej marszruty, wsiąść na pociąg i dojechać do Lublina. Na wszelki wypadek wstąpiłem do „Bahnhofskomando", aby się poinformować. Pokazałem tam moją kartkę od dr Jakowickiego i powiedziałem, że doktor skierował mnie do szpitala Legionów do Lublina. Powiedziano mi, że marszruty żadnej nie potrzeba, że wystarczy, bym wsiadł do pociągu i jechał, dokąd mi się chce, a na zapas ostemplowano moją kartkę od doktora. Noc spędziłem na dworcu, niewygodnie wprawdzie, ale z tą miłą świadomością, że uda mi się do Lublina dotrzeć. Rano we wtorek poszedłem na miasto do Żydka na śniadanie; gdym wrócił, było już po godz. 7. Stał jakiś wielki pociąg sanitarny, do którego znoszono ciężko rannych (zobaczyłem się wtedy przelotnie z Manieckim i z Wąsowiczem[35] z III plutonu naszej kompanii, rannymi też pod Jabłonką). Powiedziano mi, że to pociąg do Lublina, ale komendanci pociągu nie chcieli mnie wpuścić mimo moich próśb, mówiąc, że pociąg jest przeznaczony dla specjalnego transportu. Oprócz ciężko rannych, pakował się do pociągu cały olbrzymi wąż lekko rannych i chorych, wśród nich w dużej liczbie legionistów (był to już nowy transport, który wyruszył spod Kukli w niedzielę i

[35] Wiktor Dunin-Wąsowicz, porucznik w 1 pułku Legionów, polski oficer łącznikowy przy dowództwie litewskim i *attachè* wojskowy w Kownie w l. 1919-1920.

poniedziałek rano, po nowych walkach). W końcu wpuszczono i mnie do pociągu tego. Był to pociąg imienia arcyksiężnej Zity[36], małżonki następcy tronu, urządzony z wygodami, czyściutki. Pociąg ruszył. Jakież było moje zdziwienie, gdy zamiast na Lublin pociąg poszedł na Włodzimierz Wołyński i Sokal – do Galicji. Nie dojeżdżając do Sokala pociąg zawrócił nazad i powiózł nas do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie cały transport wysadzono i zalokowano w szpitalu rezerwowym urządzonym w byłych koszarach rosyjskich.

30 października, rok 1915, sobota
Szpital we Włodzimierzu Wołyńskim, do którego nas we wtorek z Kowla przywieziono i w którym dotychczas przebywam, jest właściwie takim samym „Maruden-Etapen-Punktem", jak ten pod Kowlem, do którego odwieziono w poniedziałek pierwszy transport i od którego się wykręciłem. Jest to tzw. szpital rezerwowy. Tu nie tyle leczą, ile czasowo dają przytułek przybywającym z linii transportom, które następnie rozwożone są pociągami sanitarnymi dalej w głąb tyłów. Niewiele więc wygrałem na mojej spekulacji poniedziałkowej w Kowlu. Z deszczu trafiłem pod rynnę, jak się to mówi. Zresztą i ten transport chorych i rannych, od którego ja w Kowlu się odłączyłem, nazajutrz po naszym przyjeździe do Włodzimierza Wołyńskiego, we środę wieczorem, również przywieziony został i zalokowany tutaj. Z okazji zapowiedzianego przyjazdu tego transportu to już krążyły najfantastyczniejsze pogłoski we środę między naszymi legionistami w szpitalu. Niektórzy twierdzili ze zgrozą i całą powagą, że jakaś klęska straszliwa spadła na nasze Legiony, że 800 rannych legionistów przywożą, a przeszło 200 zostało zabitych. Inni znów twierdzili już kategorycznie, że klęska jest tak wielka, że przeciętnie w kompanii ocalało nie więcej niż po 20 ludzi. Rysował się zgrozą przejmujący obraz rozbicia, niemal już ruiny Legionów. Jak w taborach, tak w ogóle na tyłach, wśród zgrai chorych i wielu zmyślających chorobę, nie brak tchórzów i alarmistów, kolportujących najdziksze fantazje klęsk. Umysły ich są tak przejęte zgrozą dzikiego obrazu walk w tych bagnach Polesia, z którego się dopiero wyrwali, że stąd snują rojenia, które ubierają w prawdę. Cyfry te „800" i „200" były wzięte stąd, że transport chorych i rannych liczył ogółem coś ± 800 ludzi, a w tej liczbie ± 200 legionistów. Ale swoją drogą, jak dochodziły nas na razie wieści, walki Legionów naszych pod Kuklą trwały dalej krwawo, wśród ciągłych ataków i kontrataków. Potem wszakże wieści ściśle ustały, bośmy później żadnych nowych transportów nie otrzymywali i żadnej komunikacji ze światem walk naszych Legionów już nie mieli. Może odtąd nasza kompania już nowe straty poniosła, może nawet są straty wśród moich bezpośrednich towarzyszy – a ja nic o tym nie wiem. Czuję się tu na ogół obco, mimo że dokoła pełno legionistów, i ściślejszych stosunków z nikim nie zawieram. Nie ma tu ani jednego już nie tylko z dawnego plutonu mego, ale nawet z kompanii naszej, a bądź co bądź kompania stanowi związek bliższy, łączący ludzi. Z dalszych kompanii – to są już ludzie obcy, dalecy; a do przygodnych stosunków nie jestem obecnie usposobiony. Jeszcze środowisko legionistów z naszej Brygady byłoby dla mnie znośne, mimo że chwilowo przykrzą mi się ludzie obcy, ale już stanowczo drażni mnie środowisko mrowia szóstaków, którzy są tu z nami, a wśród których jest niepospolicie lichy materiał ludzki. Może innym razem osobno o nich pomówię, bo to warte. Z nowin z Legionów jest wybitny i dodatni fakt, że do naszej linii przybyła wreszcie II Brygada z Besarabii. Gdyśmy jechali z Maniewicz do Kowla, spotkaliśmy właśnie pociągi wiozące II Brygadę. Oby się wreszcie wszystkie Legiony złączyły i oby się to stało pod jednolitym dowództwem Piłsudskiego!

[36] Zyta Bourbon-Parma (1892-1989), arcyksiężna, żona cesarza Austrii Karola I (1887-1922).

31 października, rok 1915, niedziela
Piłsudski za dzielne kierownictwo powierzoną mu grupą wojsk w okolicach Łucka, gdzie się okrył nową chwałą umiejętnego dowództwa i dzielnych czynów, otrzymał, jak słyszałem, nominację na generał-majora. W powierzonej mu czasowo grupie był II pułk I Brygady (urzędowy pułk V Legionów) i pułk IV Brygady III oraz oddziały bodajże dywizji wojska austriackiego. Owóż słyszałem teraz wśród legionistów pogłoski, jakoby Piłsudski, jako generał-major miał otrzymać (w czasie przyszłym, to znaczy nie jeszcze jako fakt dokonany, ale jako dopiero mający nastąpić) dowództwo korpusu, raczej korpusiku Legionów, utworzonego ze wszystkich trzech brygad. Przybycie na naszą linię II Brygady mogłoby ułatwić takie scementowanie Legionów w jednolitą formację korpusową. Ale to jeszcze nic pewnego. Fakt przybycia II Brygady jest sam przez się dodatni, bo zawsze lepiej jest, aby Legiony były razem, niż rozrzucone oddziałkami na takiej odległości, jak Polesie a Besarabia. Ale organizacyjne połączenie wszystkich brygad byłoby skuteczne tylko pod wodzą Piłsudskiego, jedynego mającego autorytet i konsekwentną ideę dzieła Legionów. Zresztą poza osobą Piłsudskiego takie organizacyjne połączenie nie tylko że nie wyda owoców, ale nie da się dokonać i pozostanie fikcją. I Brygada uznaje w Piłsudskim swego jedynego wodza i nikogo ponad nim, a Piłsudski nie podporządkuje się żadnym Durskim, Grzesickim lub innym parweniuszom, którzy nie z dzieła Legionów wyszli, nie z polskiego ruchu niepodległościowego wyrośli, jeno przyszli ze strony, z ramienia władz austriackich lub intryg politycznych, by dzieło stworzone ujarzmić. I Brygada – to gwardia Piłsudskiego, który stał się dziś symbolem Idei i Sprawy. Olbrzymia jest potęga tego człowieka: z wyjątkiem tylko konserwatystów krakowskich, stronnictwa i grupy polityczne w Galicji boją się Piłsudskiego i starają się wszystko zrobić, aby mu wytrącić broń z ręki i Legiony ujarzmić. Ich kreaturą jest Durski i cała Komenda Legionów, z ich kreatur rekrutują się wodzowie innych brygad, zwłaszcza w takim np. pułku VI. Chcieliby oni i N.K.N. podejść i opanować, ale ten jest uważny i trzyma się wiernie Piłsudskiego. Ale najwierniejszą, niewzruszoną ostoją Piłsudskiego jest I Brygada. To jego mur ludzki, który duszę za niego odda. Nie ustaną walki polityczne i po wojnie. Intryga reakcyjna będzie zawsze usiłowała wyrwać zasługę Piłsudskiemu; nie mogąc go przekupić i pozyskać korupcją, będzie się go starała podkopać, jak to robi obecnie; jak wszystko, co jest podłe, boi się ona pluć otwarcie na popularnego wodza, bo wie, że przez to tylko siebie zdyskredytuje; będzie więc pokątnie, sączyć jad kroplami, układać machiawelskie kombinacje. Ale będzie w społeczeństwie zaczyn piłsudczyków, którzy granitową legendą stworzą dla wodza monument niewzruszalny. Z monumentu tego Piłsudski mocen będzie walczyć dalej. Największa to siła dla działacza mieć za sobą wiarę byłych żołnierzy swoich. Wiara żołnierzy do wodza jest większą potęgą, niż popularność partyjna.
W szpitalu we Włodzimierzu Wołyńskim trzymano nas do wczoraj. Ponuro tu i nudno. Doktor dał mi nieco lekarstwa do smarowania się na własną rękę, co też robię i dzięki Bogu już trochę, ale tylko trochę – skutecznie. Wczoraj, ponieważ spodziewano się nowego transportu, wyprowadzono wielką część rannych i chorych, w tej liczbie i mnie, i wypędzono na noc do innych jakichś koszar, nieopalonych, z szybami wybitymi, zimnych jak psiarnia, gdzie mieliśmy nocować. Dziś zaś rano mieliśmy być wywiezieni dalej. Tymczasem dziś nie wywieziono nas wcale.

1 listopada, rok 1915, poniedziałek
Doprawdy obchodzą się tu z nami w tych rezerwowych i transportowych szpitalach austriackich nie jak z rannymi i chorymi żołnierzami, wracającymi z linii bojowej,

gdzie krew swą przelewali, ale jak z aresztantami w więzieniach etapowych. Człowiek czuje się czymś znikomym, pozbawionym wszelkiej wartości i godności, na poziomie jakiejś szmaty zużytej, którą się pomiata i rzuca z kąta w kąt bez względu na jej „osobiste” „aspiracje”, na jej indywidualność, w tym razie – ludzką. Legionista-rycerz, obywatel szeregowiec z I Brygady, spada tu od razu do poziomu „bydła” – tłuszczy żołdackiej austriackiej. To jest właśnie najcięższe. Szczególnie nieznośni są ci kaprale Czesi, brutale, gruboskórni, którzy na tyłach grają sobie rolę wielkich panów nad żołnierzami, krzyczą, łają, rozkazują. Czechów tych jest wszędzie na tyłach pełno do diabła, podczas gdy na linii jest to najpodlejszy materiał żołnierza, który się umie tylko poddawać i w najlepszym razie uciekać, jest pełny zdrady, złośliwej intencji powodzeń wroga, a w sercu tchórzliwy i demoralizujący otoczenie. Toteż Austria mało ich teraz wysyła na linię, a jeżeli wysyła, to miesza ich z żołnierzami innych narodowości i za komendantów daje im w każdym razie nie Czechów. Popamięta Austria tę zdradę Czechom po wojnie i popamiętają ludy Austrii. Będą mieli Czesi za swoje, a niewykluczone jest, że się dostaną w ręce Prus, które potrafią z nimi zrobić porządek. Mieli w Austrii Czesi wspaniałe możliwości rozwoju i wzrostu na przyszłość, a lekkomyślnie w tej wojnie przez zdradziecki swój stosunek do Austrii zmarnowali atuty. Mniejsza o nich. Słowem – że na tyłach dziś Czechów wszędzie mnóstwo; wszystkie luki, wszystkie dziury służby pozaliniowej są nimi zapchane. A my musimy na sobie doświadczać teraz ordynarności „braci”- Czechów, którzy o ile tchórzliwi i zdradzieccy są na linii, o tyle brutalni i aroganccy na tyłach, gdy zwłaszcza jakąś władzę nad wracającym z linii znękanym żołnierzem czują. A sanitariusze wszyscy, gdy nawet nie są kapralami lub frejterami, mają władzę nad chorymi i rannymi. Sanitariusze są tu więcej dozorcami niż opiekunami, stróżami porządku i formalistyki szpitalnej niż funkcjonariuszami miłosierdzia. Ale nie tylko stosunek służby szpitalnej był przykry. Były i przykrości fizycznie wyczuwalne, bezpośrednie. Pozawczoraj wyprowadzono nas z ogrzanego budynku szpitala, w którym leżeliśmy, na dziedziniec na mróz i wiatr; tu wywołano wszystkich z imienia, a było nas w transporcie kilkuset ludzi, co trwało, wraz z szykowaniem szeregów, koło dwóch godzin, a stamtąd wpędzono do mroźnych koszar. Noc spędziliśmy nie rozbierając się, leżąc w płaszczach pod kocami płóciennymi na łóżkach, napchanych wiórami. Nazajutrz miano nas wywieźć. W chłodzie, nie myci, w płaszczach, otuleni w koce, karmieni od czasu do czasu to kawą, to herbatą, to z obiadem czekaliśmy chwili wyjazdu. Wreszcie przed wieczorem wyprowadzono nas; znów wywoływanie imiennie, potem ustawianie w szereg, potem rozdanie po kawałku salami, potem znów po porcji herbaty. Tak wystaliśmy dwie godziny na dziedzińcu; pociągu tymczasem nie podano i nas znów do tychże koszar, jeno do innego lokalu, odprowadzono. Było tam zimno i ani łóżek, ani koców, jeno nary i ubogo słomy. Pokładliśmy się tam i w odrętwieniu czekali dalszego losu. Kto miał jeszcze resztki zdrowia, ten mógł je radykalnie stracić. Nadszedł wieczór, a pociągu sanitarnego nie podano. Zaprowadzono nas spać tam, gdzieśmy poprzedniej nocy spali. Wreszcie dziś rano podano pociąg, do którego nas władowano i koło godz. 10 wywieziono.

2 listopada, rok 1915, wtorek
Jechaliśmy pociągiem sanitarnym przez cały dzień wczorajszy i noc dzisiejszą. Nie wiedzieliśmy ściśle, dokąd nas wiozą. Jechaliśmy w kierunku Galicji Zachodniej. Mówiono, że mamy być dowiezieni do Jarosławia i tam w szpitalu zalokowani. Na wagonach naszego pociągu widniały istotnie napisy „Jarosław”. Już przy wagonowaniu naszego transportu we Włodzimierzu Wołyńskim oddzielono osobno żołnierzy austriackich i osobno legionistów. Wróżyliśmy stąd, że może nas też osobno zalokują w

szpitalu i może w szpitalu Legionów, co oczywiście uśmiechałoby się nam bardziej, niż siedzenie w szpitalu austriackim. W wagonie miałem dość przyjemne towarzystwo legionistów, samych ludzi z I Brygady, starych żołnierzy i przeważnie w wieku już troszkę starszym. Szóstacy, którzy mnie tak nerwują i których błazeństw mam już pełne uszy, tak że mi już obrzydzenie sprawiają, siedzieli na szczęście gdzieś w dalszych przedziałach. Zresztą sami się oni krępują trochę legionistów z I Brygady i starają się w swoim kółku dobierać, gdzie mogą do syta przechwalać się i blagować, nie wstrzymywani przez nikogo. W Jarosławiu pociąg stanął dziś rano. Usłyszeliśmy, jak jakiś urzędnik kolejowy wydał rozkaz tej treści, że tu mają być wysadzeni tylko Austriacy i ranni jeńcy moskiewscy, którzy z transportem tym jadą, zaś wagony z legionistami mają iść dalej – do Rzeszowa. Jakoż istotnie wkrótce pojechaliśmy dalej. Choć słyszeliśmy wyraźnie, że mamy jechać do Rzeszowa, jednak łudziliśmy się jeszcze, że może dalej powiozą – do Krakowa. Dopiero w Krakowie byłbym się czuł zadowolony, bo mógłbym się zorientować i ewentualnie o ten urlop się wystarać. Ale nie: pociąg stanął w Rzeszowie i nas wysadzono. Jedną część poprowadzono osobno, a drugą, w której ja byłem, znów gdzie indziej, mianowicie do miejskiego austriackiego Landwehrszpitalu. Tu od razu wprowadzono nas do lokalu kąpielowego, zaczęto strzyc, golić i kazano się rozbierać do naga i myć. Uniknąłem wszystkich tych operacji szczęśliwie; ogolić się wolałem później własną brzytwą, strzyc się pod maszynką, by łysiną świecić, nie chciałem, a zresztą się brzydziłem, bo tą samą maszynką strzyżono głowy i zarost przy organach płciowych, wreszcie myć się przy wszystkich i otwierać na pokaz moje poranione od świerzbu nogi – przykro mi było. Ale z powodu mojej choroby skórnej zalokowano mnie osobno od legionistów, w kamerze, gdzie leżą tacy sami jak ja chorzy; są to sami austriaccy żołnierze; jest wśród nich wachmistrz żandarmerii, Polak, reszta szeregowcy z linii: trzech Żydów, Polak, Rusin, dwóch Węgrów i Niemiec z Moraw. Na ogół towarzysze mojej kamery okazali się bardzo mili ludzie; jest to sama młodzież; szczególnie zaś sympatyczni są: wesoły i dowcipny Żydek ze Stanisławowa, bardzo dobry chłopiec, dalej ów Rusin niezwykle uczynny i zawsze równie pogodny, wreszcie jeden z Węgrów. Nie spodziewałem się, że wśród Austriaków będę się czuł tak dobrze. Ale muszę przyznać, że moi towarzysze kamery są niezmiernie delikatni ludzie, wprost subtelni, co się spotyka u ludu często, ale tylko nie u kapralów i w ogóle nie tam, gdzie człowiek prosty dostał do rąk władzę i przez nią skorumpowany został.

3 listopada, rok 1915, środa
Doktorem ordynującym w tym oddziale szpitala, gdzie ja jestem, jest Żyd z Tarnopola; po polsku oczywiście mówi biegle, ale jest niesympatyczny, mruk ociężały i nie dość uprzejmy. Po przyjeździe chciałem z nim pomówić poufnie, poradzić się prywatnie, jak z człowiekiem i lekarzem, aby nie być leczony szablonowo, jak się zwykle po szpitalach traktuje, oraz pomówić w sprawie ewentualnego dostania się do Krakowa. Doktor wszakże przyjął mnie ozięble i wyraził zdziwienie z powodu mojej chęci poufnego z nim pomówienia. Wobec tego zaniechałem z nim poufnej rozmowy. Będę sobie sam radził, a formalnie poddam się szablonowi. Doktor dziś przy wizycie porannej w naszej kamerze obejrzał jedną moją nogę, rzucił okiem na ciało na piersiach i, jak wszystkim w kamerze naszej, zalecił mi szablonowe smarowanie się jakąś maścią. Nie smaruję się nią wszakże i ani myślę się smarować, bo wiem, że skuteczniejszą dla mnie jest maść, dana mi przez doktora we Włodzimierzu Wołyńskim. Skutki tej maści już się ujawniają korzystnie na nogach moich i innych częściach ciała. Współtowarzysze mojej kamery, którzy są, jak to już wspomniałem, ludźmi wyjątkowo sympatycznie dobranymi, skarżą się wszyscy bardzo na ten szpital, na doktora z jego

szablonowym uniwersalnym smarowaniem i na to smarowanie samo. Jest to maść jakaś gryząca, bardzo ostra, od której u chorych znika wprawdzie po jakimś czasie świerzb, ale za to wyskakują jakieś „czyraki” – bolesne pryszczyki, które narywają i dość licznie się mnożą, nim po dłuższym czasie poznikają. Ci, którzy są w stadium dostawania tych czyraków, męczą się, stękają, chodzą pokurczeni; tylko wesoły i rezolutny Żydek ze Stanisławowa nie traci rezonu, jest wciąż równie pomysłowy i dowcipny, a jest to człowiek, u którego dowcip jest krystalicznie czysty, niezmącony żadną złośliwością – przeciwnie, jest zawsze uprzejmy i niezmącenie pogodny w swoim humorze. Mam pozostawać w tym szpitalu aż do zupełnego oczyszczenia mojej skóry ze wszelkich krost i plam. Wiem, jak uporczywe są choroby skórne, toteż pobyt ten byłby długi, co mi się wcale nie uśmiecha. Chodzi mi o najrychlejsze dostanie się do Krakowa, skąd mi się w perspektywie rysuje jazda do Wilna. Daleko teraz jestem od linii i nie potrzebuję się obawiać, że dziennik wraz ze mną trafi do rąk Moskali i posłuży za materiał kompromitujący mnie. Toteż nie potrzebuję się już w dzienniku ukrywać, że jestem jakimś Mateuszem Rzymskim, jak brzmi pseudonim mojej karty wojskowej, jeno obywatelem i synem wiernym Litwy, Michałem Römerem z Wilna. Otóż bardzo mi chodzi o to, aby się teraz do Wilna dostać. Chodzi mi tak o zobaczenie się z rodziną, z którą nic nie wiem, co się stało w tych przejściach wojennych ostatnich czasów i której sprawy wymagają może mojej interwencji, jak o wejrzenie w stosunki litewskie i w szczególności wileńskie po wypędzeniu Moskali oraz czynne oddziaływanie na takowe. Sądzę, że w tej chwili jestem tam szczególnie potrzebny. Napisałem dziś do Michała Sokolnickiego[37], sekretarza N.K.N., do Krakowa, błagając go, aby zainterweniował w drodze kompetentnej i zajął się wyciągnięciem mnie stąd i sprowadzeniem do Krakowa.

4 listopada, rok 1915, czwartek
Dziś jest dla mnie bardzo smutna rocznica, rocznica pierwsza załamania się mego życia. Rok temu zgasła Aninka i z nią zgasło to, co stanowiło istotę mego życia i było jego pierwiastkiem szczęścia. W związku naszym streszczało się cudowne życie nas obojga jako wielka jedność stopiona z najsubtelniejszych wykwitów dwóch indywidualności. Innym byłem człowiekiem za życia mojej Aninki, innym, barwniejszym i większym, był świat mojej indywidualności. Dziś pozostałem tylko egzekutorem idealnego spadku naszej miłości, który się wyraża w służbie haseł wolności i ludzkości w jej wszelakich postaciach, społecznych, narodowych, krajowych oraz duchowych. Wierny będę do końca życia tym ideałom, które naszymi były i które przenikały gorąco każdą myśl, każdą szlachetną tęsknotę serca mojej wielkiej Anny.
Przechodzę teraz do ogólnych spraw Legionów. Nie wspominałem, zdaje się, w dzienniku, że Piłsudski zawiesił obecnie werbunek do Legionów w Królestwie. Zrobił to w tym celu, aby nie wyczerpywać przedwcześnie materiału ludzkiego. Ponieważ Austria i Niemcy nie składają żadnych oświadczeń w sprawie polskiej, nie angażują się i nie wiążą niczym określonym, więc też Polacy winni siły swe oszczędzać, nie dając ich do ostatka na rzecz niewiadomą i zachowując rezerwy żywe na tę chwilę, kiedy będą mogły zaważyć na jakichś realniejszych, niż dotąd kombinacjach. Dzieło Legionów już jest spełnione, czyn ich, jako żywa ofiarna wielka manifestacja woli do niepodległości, już się rozrósł i grzmi potężnym dźwiękiem z krwawych pobojowisk, chlubą okrywając nasz sztandar Wolności, ale na razie, wobec braku ściślej określonych

[37] Michał Sokolnicki (1880-1967), działacz niepodległościowy, historyk, dyplomata, od 1905 r. w PPS, członek KSSN, w sierpniu 1914 r. komisarz Wojsk Polskich w Kielcach, następnie od 5 IX 1914 r. Generalny Komisarz PON, sekretarz generalny NKN. Po odzyskaniu niepodległości w służbie dyplomatycznej jako poseł w Finlandii i Danii oraz ambasador w Turcji (1936-1945), następnie na emigracji.

szans, tego dość. Legiony mają dalej z tą samą, co dotąd ofiarnością pełnić swój święty czyn, ale wyczerpywać coraz to nowe siły do ostatka – zbytecznie. Nie znaczy to, aby zarezerwowane siły chować w biernym bezwładzie. Należy tworzyć z nich rezerwę, należy je organizować, aby tworzyły siłę żywą, która w każdej chwili byłaby gotowa przejść w stan czynny, zasilając szeregi wojska polskiego (Legionów) w momencie, gdy to wojsko na realniejszym gruncie sprawy stanie. Podobne hasło już dawno było głoszone przez Polaków amerykańskich, którzy mają liczne kadry rezerwy dla wojska polskiego, ale chcą je rzucić dopiero w chwili decydującej, w chwili realniejszych kombinacji niepodległościowych. To, co obecnie w Królestwie się robi – to nie werbunek właśnie, ale organizowanie militarnej rezerwy. Odpowiada to tendencjom kół niepodległościowych w Królestwie, które w przeciwieństwie do Galicji nie miały żadnych szczególnych sentymentów dla Austrii i nigdy w najmniejszej mierze nie traktowały czynu Legionów za akt wdzięczności dla Austrii, za platoniczny czy tam spekulacyjny austrofilski akt. Na tym też stanowisku stanął Piłsudski, zawieszając werbunek i rozpoczynając dzieło organizacji militarnego pogotowia. Zdaje mi się, że to polityka mądra i bardzo na czasie. Dzieło Legionów w żadnym razie nie zmarnowane. Bez niego, bez czynu żywego, żadne organizacje rezerw na przyszłą chwilę nie wlałyby życia w ideę walki o wolność. Czyn Legionów był koniecznością, był punktem wyjścia do niepodległościowej sprawy polskiej. Nie tylko dokonał on manifestacji woli – i to jakiej manifestacji! – nie tylko dał Narodowi wspaniałą legendę bohaterskiego czynu, krwią żywą i chlubą stwierdzoną, ale też utworzył kadry realne wojska polskiego.

5 listopada, rok 1915, piątek
Podczas gdy Piłsudski w myśl polityki polskiej zawiesił werbunek do Legionów i zarządził organizowanie kadrów rezerwowych – co się robi oczywiście drogami tajnymi – Komenda Legionów bynajmniej o zawieszeniu werbunku nie myśli i zajęta jest formowaniem coraz to nowych pułków. Dla Komendy Legionów bowiem i kół, które jej odpowiadają, Legiony nie są narzędziem polityki polskiej samodzielnej, skierowanej do swoich odrębnych celów państwowych, jeno aktem lojalizmu austriackiego, aktem wdzięczności dla tego mocarstwa i symbolem nadziei, które Polacy pokładają we wspaniałomyślności Austrii, ofiarując jej bez zastrzeżeń swą krew, waleczność, bohaterstwo. Jest to „polityka" mężów umiarkowanych i stronnictw kołtuńskich Galicji, którzy boją się niepodległościowych zapędów „stronnictw skrajnych" z ich czerwonym wodzem Piłsudskim. Legiony poczęte w męce ofiary jak kwiat przedziwny, cudownie wypielęgnowany do nowego życia ze stuletnich przeszło bohaterskich walk ojców, utkany z najpiękniejszej tradycji narodowych czynów o wolność, kwiat bajeczny, który z dziedziny marzeń i świętych wspomnień wyniósł zapłodniony żywy czyn, pełny znowu realnego ciała i krwi, jak zmartwychwstała z obrazków legenda, przetworzona w rzeczywistość wielką, te Legiony stały się w ręku kołtuństwa galicyjskiego, w ręku c.k. Komendy, jakąś kaszką wdzięczności dla Austrii, poczciwych zasad lojalizmu i bezmyślnego kręcenia się w kółko – bez polityki przewodniej, bez wielkiej własnej idei. To jest właśnie kapitalna różnica między Piłsudskim a wodzami Komendy, między I Brygadą a innymi pułkami. Niech sobie werbują na zdrowie, niech mnożą fikcyjne liczby pułków. Nie wstrzymają oni dzieła Piłsudskiego, prawdziwego dzieła Legionów. Ale, niestety, dzieło te po trochę zapaskudzają, koślawią je. Do tych coraz to nowszych pułków dostaje się coraz lichszy materiał; już VI pułk zdradza ogromną lichotę materiału ludzkiego: dużo tam brawury, dużo pustych przechwałek, jeszcze więcej błazeństwa, a ideowości, honoru rycerskiego, powagi świętej sprawy – prawie że się nie znajdzie. Jest w tym pułku pełno dzieci 16- i bodaj nawet 15-letnich, szumowin rozmaitych, andrusów z ulicy lwowskiej; jest to słabe i wątłe, w ataku się chowa i

płacze, jest dziesiątkowane w linii, dowódców ma w większości niezdarnych, karierowiczów, pozbieranych z całego świata. Mieszanina jest w tym pułku niewypowiedziana i prawdziwie szkoda jednostek ideowych i ofiarnych, które tam przez nieporozumienie jakieś trafiły, bo są przecie i tacy – tego się zaprzeczyć nie da. Stosunki w VI pułku są austriackie; zasada obywatelska w stosunkach wewnętrznych nie tylko nie jest przestrzegana, jak w I Brygadzie, ale tępiona; każdy kapral jest tam o całe niebo od żołnierza wyższy, jest dlań wielkim panem. A materiał coraz to lichszego rekruta jest jeszcze w dodatku spaskudzony przez liczną czeredę karierowiczów, uciekinierów z I Brygady, którzy porzucili sztandar Brygady dla gwiazdek kapralskich czy sierżanckich (nieraz nawet chorążowskich) w VI pułku, gdzie każdą taką kreaturę starają się pozyskać; wszystko więc, co łase na korupcję, tam się w tym biednym VI pułku gnieździ, pułku, którego dziś po miesiącu walk, już tylko szczątki pozostały. Im dalej będzie szedł werbunek Komendy, tym lichszy będzie napływał materiał, tym bardziej teraz, gdy werbunek Piłsudskiego jest zawieszony; to, co jest świadomego, ideowego, to będzie się organizowało na zasadach rezerwy, a do werbunku będzie szło to, co jest najmniej świadomego, co pójdzie dla chleba kawałka, dla jakiegoś pozoru, z kaprysu dziecinnego itd. Mnożyć będzie Komenda coraz lichsze fikcyjne pułki Legionów, pułki papierowe, bo ogromną część kontyngentu nowego pułku zapełnia z maruderów starych pułków, z rekonwalescentów itd., zwiększając bardziej liczbę pułków, niż liczbę wojska legionowego.
Wczoraj wziąłem od doktora pozwolenie pójścia na miasto i ze cztery godziny spędziłem na ulicach Rzeszowa. Nudno mi na mieście, jak w szpitalu. Nikogo nie znam, włóczyć się muszę po uliczkach prowincjonalnego miasta bez sensu i celu; wykąpałem się jeno dobrze i wypiłem kawy z bułeczką w kawiarni.

6 listopada, rok 1915, sobota
Choć mi tu nudno i samotnie w szpitalu rzeszowskim, jednak oswajam się stopniowo z otoczeniem i jak kamień, porastam mchem na miejscu. Pisuję dziennik, pisuję listy (nie mogę tylko pisywać do rodziny ani do moich przyjaciół wileńskich, bo poczta stąd do Wilna, o ile wiem, nie kursuje), poza tym, czytam świeże krakowskie gazety, czasem chodzę na miasto, wreszcie leżę w łóżku moim w szpitalu, przysłuchuję się rozmowom moich towarzyszy niedoli i sam w nich po trochę udział biorę. Moi towarzysze stosują się do mnie z wielkim szacunkiem, nazywają mnie „panem doktorem”, ponieważ w Galicji każdy adwokat ma stopień doktora praw, sprzątają za mnie, ścielą mi łóżko, myją moją menażkę, słowem – są pełni względów dla mnie, pytają mnie o zdanie i radę, a robią to wszystko z taką ujmującą słodyczą i prostotą, będąc skądinąd pełni konceptu i młodocianej werwy, że jestem dla nich pełny wdzięczności i szczerej sympatii. Odwdzięczam się im tym, że czasem im czekolady lub jabłek kupuję albo też ustępuję im nadmiar mego chleba i jedzenia dziennego. W ogóle karmią nas tu dość obficie, o wiele obficiej, niż na linii. Na linii dostajemy dwa razy dziennie, rano i wieczór, kawę czarną konserwową, poza tym obiad, złożony z rosołu i kawałka mięsa albo też z gulaszu ze świeżego mięsa z kartoflami, grochem lub fasolą. Prócz tego, fasujemy w linii chleb, zwykle po pół bochenka, czasem wino lub rum, cukier i co dzień papierosy po 10 sztuk. Zresztą w linii nieraz bywa, że fasunek nie może być dowieziony, obiadu przez dzień cały nie ma, gdy kuchnia podjechać nie może. Tutaj naturalnie niespodzianek żadnych nie ma i utrzymanie jest regularne, a składa się ono z następujących elementów: pół bochenka chleba na dzień, chleb względnie niezły, rano o godz. 7 kawa czarna konserwowa, o godz. 10 rano herbata, wina 1/4 litra dziennie, po południu obiad, złożony z rosołu z ryżem lub innym dodatkiem, z porcji mięsa gotowanego i jakiejś potrawy dodatkowej, jak groch, kartofle lub coś podobnego, dalej

o godz. 4 herbata i o godz. 6 kolacja, złożona z zupki jakiejś, jakiś krupniczek lub coś podobnego i znowuż z kartofli lub fasoli, okraszonej nieco słoninką, cebulką itp. Zresztą można sobie sprowadzać z miasta wędlinę i wszelkie wiktuały. Muszę też zrehabilitować naszego doktora szpitalnego, Żyda z Tarnopola. Jest on trochę mruk, ale człowiek dobry, dość staranny, traktujący chorych przyjaźnie, chwilami jest on dla mnie względny, traktuje mnie zawsze uprzejmie i uważnie. Miejsca mi zapewne będzie stale zostawać w dzienniku, toteż zużyję takowe na kontynuowanie charakterystyki typów żołnierzy z naszego dawnego plutonu, co zacząłem robić w zeszłym miesiącu na wypoczynku w Trojanówce. Wspomniałem o naszym poruczniku kompanijnym Dębie, o podporuczniku plutonowym Stawińskim-Kozickim, o zabitym już obecnie naszym podoficerze zafrontowym Kosie, o kapralu sekcyjnym I sekcji Bohunie i o byłym zastępcy jego, starszym żołnierzu, zaginionym pod Kostiuchnówką Dzienglu. Przechodzę dalej do żołnierzy z I sekcji naszego dawnego plutonu. Z kolei mówię o Gutowskim, również starszym żołnierzu, jak Dziengiel. Zdaje się, że jest to jego nazwisko właściwe, nie pseudonim. Rodem jest Gutowski z Królestwa, z Lublina, ale jako 18-letni chłopiec przed laty 10 był skompromitowany w ruchu rewolucyjnym i uszedł do Galicji, gdzie też zamieszkał. Pracował w Borysławiu; jest, o ile wiem, robotnikiem inteligentniejszym, należącym do kategorii kwalifikowanych. Wykształcenia większego nie ma, „inteligentem” nie jest. Jest starym żołnierzem, należy do grupy Borysławiaków w plutonie naszym. Z wieku też należy do starszych w plutonie, bo ma 28 lat. Gutowski jest typem sympatycznym i dodatnim; ma żywy temperament, jest nawet sangwinikiem, skłonnym do kłótni i bitki, ale ma serce złote; żołnierz z niego dobry, spełniający wszystko z temperamentem, chociaż lubiący kląć, niecierpliwiący się, narzekający na dowódców. Ale jest to szlachetny kruszec tego żołnierza starej wiary, który kląć umie, a przecie nigdy nie zawiedzie, obowiązku nie zaniedba, rozkazu nie złamie, nie opuści.

7 listopada, rok 1915, niedziela
Niewiele co mam do pisania o dniu dzisiejszym, prócz chyba tego, że wychodziłem na parę godzin na miasto; toteż niniejszą kartkę dziennika poświęcę w dalszym ciągu charakterystyce żołnierzy naszego dawnego plutonu. Pisałem o Gutowskim wczoraj, jednym z najsympatyczniejszych typów u nas. Jest to natura bezpośrednia, reagująca odruchowo, rubasznie, ale z gruntu mająca dużo temperamentu i uczuciowości. Gutowski jest z krwi i kości piłsudczykiem, wierzącym w „dziadzię” Piłsudskiego, przywiązanym do ostatniego tchu do I Brygady, żołnierzem, którego by nikt nie zdołał „wykraść” do innej brygady. Nie jest karierowiczem, udziału w Legionach nie traktuje za tytuł do jakichś szczebli zasługi. W życiu wewnętrznym plutonu Gutowski jest towarzyski i koleżeński, ma żyłkę namiętności do kart. Wprawdzie, gdy jest zmęczony lub spracowany, jest skory do sprzeczki, ale nie zmniejsza to jego zalet koleżeńskich stałych. Ma rozwinięty zmysł solidarności koleżeńskiej, charakter ma samodzielny i niezależny. Gutowski zamierzał przejść do oddziału telefonistów podczas odpoczynku w Trojanówce, chodził na odpowiednie wykłady, ale nagły wymarsz pokrzyżował te projekty, przynajmniej na razie. Po ataku na Jabłonkę został przydzielony do plutonu Wiatra. Dalej do sekcji I należał obywatel Tobjasz, również stary żołnierz z grupy Borysławiaków. Zdaje się, że „Tobjasz” to pseudonim tylko; nazwiska nie znam. Tobjasz miał jakąś posadę, bodajże biurową, w zakładach przemysłowych w Borysławiu. Z wyglądu i pewnych cech robi wrażenie Izraelity, ale czy nim jest istotnie – nie wiem; w każdym razie, starzy żołnierze, zwłaszcza jego koledzy Borysławiacy, którzy muszą znać lepiej jego pochodzenie i przeszłość, nigdy go Żydem nie nazywają. W przeciwieństwie do Gutowskiego, jest to natura przeważnie zimna, zrównoważona,

wystarczająca sama sobie, poniekąd nawet wyrachowana. Pomimo to nie jest to człowiek zły bynajmniej. Jest też niegłupi, choć czasem bywa nudny, gdy zacznie coś opowiadać bez końca. Wśród kolegów – starych żołnierzy nie jest bardzo lubiany; ze zdaniem też jego mało się liczą, ale jemu o to bardzo nie chodzi, bo jest to człowiek żyjący samotnie, nie zawiązujący gorętszych stosunków przyjaźni. Poza tym, jest to człowiek akuratny, sumienny. Jako żołnierz jest niezły; ma już swoją rutynę żołnierską, która kojarzy w sobie metody spełniania funkcji wojskowych z metodami ostrożności. Właściwie to każdy stary żołnierz ma swoją rutynę, swoją metodę, wyrobioną stopniowo w drodze doświadczenia osobistego; gdyby tego nie miał i gdyby nie systematyzował swego doświadczenia ostrożności, byłby o wiele wcześniej zginął; oczywiście nic nie gwarantuje żołnierza od rany lub śmierci i są sytuacje, jak w atakach zwłaszcza, kiedy żadna rutyna i doświadczenie nie pomogą; ale na ogół, czy to na wedetach, czy w okopach, czy t.p. – doświadczenie i rutyna wiele pomagają staremu żołnierzowi, stanowiąc dlań rodzaj pancerza obronnego. Otóż Tobjasz jest szczególnie ostrożny i szczególnie swej rutyny przestrzegający, co nie przeszkadza, że spełnia bez uchybienia wszystkie obowiązki żołnierskie i nigdy się od żadnego nie uchyli. Czasem nawet podejmuje się pewnych czynności na ochotnika. W ogóle żołnierz zeń dobry i nie usiłujący nigdy dekować się i tłuc po tyłach. Jak na rzetelnego żołnierza przystało, na dobrego legionistę i piłsudczyka – jest Tobjasz zawsze w szeregu i od szeregu nigdy wykręcić się nie usiłuje. Zaletą jego jest, że nie używa nigdy brzydkich słów i tych połajanek, które są w Legionach, niestety, zbyt rozpowszechnione. Figura Tobjasza, charakterystycznie pochylona wpół pod kulami nieprzyjacielskimi, ostrożna, uważająca dokoła, pozostanie mi zawsze w pamięci, jeżeli się z nim już nawet w szeregu nie spotkam. Po ataku na Jabłonkę i rozbiciu naszego plutonu, Tobjasz wraz z innymi ocalałymi starymi żołnierzami naszymi przydzielony został do plutonu Wiatra, to znaczy, że jest w nowym II plutonie.